MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 26 WARSZAWA, 23 CZERWCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

DJALOG Z AKADEMIKIEM

ZNAMIENNE zajście podczas uroczystości 36 pułku piech. (t. zw. Legji Akademickiej) dnia 2 b. m., usunięcie się mianowicie sztandarów wszystkich wyższych uczelni warszawskich w chwili, kiedy orkiestra pułkowa rozpoczęła grać marsz „My, pierwsza brygada" — dało sposobność do niemniej znamiennej i zasługującej na zanotowanie dyskusji w prasie. Spokojna forma wspomnianej manifestacji, udział w niej niewątpliwych przedstawicieli ogółu młodzieży akademickiej stolicy, uniemożliwiły zgóry potraktowanie całego zdarzenia, jako „wybryku garstki obałamuconych" i t. d. Zrozumiał to znakomicie dowódca 36 p.p., pułk. Ulrych, rozsyłając do dzienników list, podyktowany — jak zaznaczył — „troską o dobro współżycia między pułkiem, który nosi zaszczytny przydomek „Legji Akademickiej", a młodzieżą akademicką":

„...jest rzeczą niemożliwą"—pisał—„po wszystkie czasy wykluczoną, aby na indeksie narodowym mogły się znaleźć marsze tych czy innych formacyj polskich, z pieśnią na ustach, których najlepsi synowie Ojczyzny ginęli na polu chwały".

W odpowiedzi niejako, w kilka dni później, ukazała się w „Gazecie Warszawskiej" (Nr. 169) notatka, podpisana pseudonimem „akademik". Przedstawiciel młodzieży akademickiej stwierdzał, co następuje:

„W zupełności podzielaliśmy, my, akademicy polscy, poglądy p. pułkownika Ulrycha na tradycjonalne znaczenie powyższej pieśni, zarówno jak i wszystkich innych pieśni wojskowych formacyj polskich... Lecz w maju 1926 roku brzmiała ona na ulicach stolicy we wręcz odmiennych okolicznościach. A wtedy akademików polskich nie brakowało w liczbie walczących w obronie przysięgi i konstytucji.

A potem, pomimo tak strasznych kart w historji tej pieśni, starano się nadać jej charakter poniekąd oficjalnego hymnu, grywanego podczas narodowych uroczystości. Nie uważamy, by to były odpowiednie chwile do przypominania Polakom najtragiczniejszych dni naszej Ojczyzny".

W tym momencie wmieszał się do dyskusji czynnik trzeci, publicysta „sanacyjny". W artykule, zamieszczonym w dzienniku „Głos Prawdy" (Nr. 161), zwrócił się on do „akademika" tonem ciepłym, tytułując go „Młody przyjacielu!"; nawiązawszy zaś do przypomnienia „dni majowych" tak rzecz wykłada:

„To, co się podczas nich stało, zostało zalegalizowane i zaakceptowane przez czynnik, z konstytucji i woli narodu najwyższy, przez Zgromadzenie Narodowe, które bezpośrednio po wypadkach majowych Marszałkowi Piłsudskiemu ofiarowało godność Prezydenta Rzplitej. Czyżby tych faktów, uznanych zgodnie z konstytucją przez zbiorową wolę reprezentantów całego społeczeństwa, nie mieli uznawać akademicy polscy, chociażby ich nawet — jak pan pisze — miało „nie braknąć w liczbie walczących w obronie konstytucji?".

Na pierwszy odrazu rzut oka zauważyć można niezmiernie interesujący szczegół: przytaczając w cudzysłowie zdanie „akademika" o studentach, których nie brakowało „w liczbie walczących w obronie przysięgi i konstytucji", publicysta „Głosu Prawdy" opuszcza w niem jeden, bardzo ważny wyraz: „przysięgi". Dlaczegóż to w „Głosie Prawdy" tak zupełnie nie przywiązuje się znaczenia do przysięgi, dlaczego tak łatwo się o niej zapomina?

Znamienniejszy atoli, niż jakiekolwiek, najdrastyczniejsze nawet „skróty" i „opuszczenia" jest przedewszystkiem sam główny tok rozumowania autora artykułu w „Głosie Prawdy". Obrońca „sanacji" nie występuje w nim bynajmniej z twierdzeniem, że — jego zdaniem — naczelne zasady, na których oparta była Konstytucja 17 marca, zasada równości wszystkich obywateli w Państwie oraz powoływania władzy na podstawie powszechnego, równego głosowania — wypływały z założeń fałszywych, którym należało się przeciwstawić. Nie probuje nawet określać, jaka nowa ideologja, jaki program nowych form życia zbiorowego, udzieliłyby w jego oczach sankcji moralnej zastosowaniu środków tak gwałtowanych, jak w maju roku 1926. Nie usiłuje wyliczać, jakie to przełomowe, epokowe reformy przeprowadzone zostały w okresie

ostatniego trzechlecia, jako skutek „przewrotu". Argumentem najważniejszym, jedynym, który ma przekonać „akademika" i nakłonić go do zasadniczej zmiany poglądów... jest „zalegalizowanie i zaakceptowanie" przewrotu przez Izby Prawodawcze.

Otóż takie ujęcie sprawy jest stanowiskiem wyłącznie formalnem, nie docierającem do istoty zagadnienia. Żadne ciało zbiorowe nie ma możności udzielić jakiemukolwiek aktowi politycznemu więcej powagi moralnej, niż samo posiada. Szczególnie zaś nieporęcznie jest powoływać się na dostojność moralną uchwał poprzedniego sejmu — obozowi „sanacyjnemu": wszak w artykule, ogłoszonym w tymże „Głosie Prawdy" dn. 1 lipca roku zeszłego, minister Piłsudski wyraził się dosłownie: „Przy przeszłym sejmie, który z a w s z e nazywałem sejmem korupcji"...; wszak użył tam określenia: „sejm ladacznic"... Co najważniejsze zresztą, zagadnienia uczciwości, honoru, z natury rzeczy muszą być rozstrzygane innym zupełnie trybem, sprawdzianem ich są zawsze zasady etyczne, których przejawem staje się postępowanie jednostki, i te zasady decydować mogą dopiero o poddaniu się jej albo też nie poddaniu autorytetowi jakiegokolwiek ciała zbiorowego. O tych zasadach więc, które miałyby być uzasadnieniem moralnem przewrotu majowego, należało przedewszystkiem pomówić. Taka dyskusja rzeczywiście mogłaby stać się pożyteczna*).

*) Warto tutaj, tytułem przykładu, podsunąć zagadnienie z dziedziny ideologicznej, którego autorytatywne rozwiązanie byłoby zarówno interesujące, jak pożyteczne. We wrześniu r. 1927 delegat Polski, p. Sokal, wystąpił na Zgromadzeniu Ligi Narodów z wnioskiem, przez Zgromadzenie przyjętym nadzwyczaj chłodno i w przytoczonem brzmieniu nie uchwalonym, natomiast w kraju powitanym przez całą prasę „sanacyjną" entuzjastycznie, jako „wielka idea": „Wszelka wojna, mająca na celu rozstrzygnięcie konfliktu międzynarodowego, jest i pozostaje niedozwolona. Wszelkie konflikty międzynarodowe winny być załatwiane przy pomocy środków pokojowych".

Niesłychanie zajmujący[1] byłby wykład ideologiczno moralnego systematu pacyfistów „sanacyjnych", nakazującego im potępiać najbezwzględniej „wszelką wojnę", jako sposób „rozstrzygnięcia konfliktów międzynarodowych", równocześnie jednakże uznającego walkę zbrojną, jako sposób załatwiania konfliktów wewnętrznych, sporów politycznych wewnątrz jednego narodu. Cóż za temat wspaniały do feljetonu dla wroga wojny, a zarazem entuzjasty przewrotu majowego, p. Wassercuga!

Jest nieszczęściem obozu „sanacyjnego", że od samego początku na rzeczoznawców swoich w sprawach moralności i na jej głosicieli wyznaczył pp. Ehrenberga, Stpiczyńskiego oraz „prasę czerwoną". Utrudnia to przytem w wysokim stopniu dyskusję, kiedy przeciwnik wogóle nie zdaje sobie sprawy, o czem mowa. Publicyści „sanacyjni" wyobrażają sobie, że różnica zdań dotyczy np. kwestji ograniczenia władzy ustawodawczej i zwiększenia roli władzy wykonawczej, że wogóle sprzeczności między obozami politycznemi w Polsce dadzą bez reszty sprowadzić się do różnicy jedynie poglądów politycznych. Autorowi artykułu w „Głosie Prawdy" wydaje się, że troską „akademika" jest utrzymanie poprzedniego stanowiska sejmu w ustroju państwowym, to też tłumaczy mu tonem dobrodusznym: nie martwże się, młody przyjacielu; oni sami oddawna pogodzili się ze swym losem... Nie przypuszcza nawet na chwilę, że różnica poglądów tkwi znacznie głębiej, w dziedzinie moralnej...

To zasadnicze nieporozumienie jest istotną przyczyną niepowodzenia wszystkich usiłowań obozu „sanacyjnego", gdy chodzi o pozyskanie duszy młodzieży. Zorganizował już „demokratów" tak demokratycznych, że mogliby oni stanowić przedmiot zachwytu każdej „Ligi Obrony Praw Człowieka", każdej loży Wielkiego Wschodu — młodzież odwróciła się od nich bez wahania. Zorganizował „mocarstwowców" tak imperjalistycznych, tak z faszystowska dyktatorskich, że wobec nich zbledli dawni „najczarniejsi reakcjoniści" — i znów młodzież potraktowała cały eksperyment żartobliwie. Szuka tedy coraz nowych sposobów, nie rozumiejąc tego zgoła, że — nadaremnie.

Gdyby tylko o programy chodziło, „sanacja" posiada ich cały szereg, najrozmaitszych: młodzież miałaby w czem wybierać. I starzy gracze „sanacyjni" po dawnemu łudzą się, mimo wszystko, że wystarczy im umówić się tylko co do wyboru gry, by natychmiast zasiąść zgodnie do stolika. Tymczasem „nastrój towarzyski" nie wytwarza się, gra się nie rozpoczyna. Młodzi partnerzy postanowili przedtem obejrzeć karty, czy nie fałszywe.

JAN REMBIELIŃSKI

Z ZAGADNIEŃ FASZYZMU

(ROZMOWA Z P. FORGES DAVANZATI)

NIE miałem zamiaru robić wywiadu z Dyrektorem dużego dziennika rzymskiego *„La Tribuna — Idea Nazionale"*, oraz członkiem Wielkiej Rady faszystowskiej. Przedstawiony mu, otrzymałem uprzejmą propozycję odbycia powtórnej rozmowy, w której przyznano mi prawo sformułowania zapytań. P. Robert Forges Davanzati zgodził się na opublikowanie treści jego wypowiedzeń, obdarzając zaufaniem sumienność mego referatu, poprosiłem go zaś o to przy pożegnaniu, uderzony jasnością jego myśli,tematem najgodniejszym zainteresowania naszej opinji politycznej, uniesiony jego wielkim entuzjazmem.

Pierwsze słowa polityka włoskiego, powiedziane do mnie po przywitaniu, są ostrzeżeniem: patrząc na organizację i instytucje nowej Italji — mówi na wstępie p. Forges — trzeba umieć poprzez urządzenia i formy dojrzeć istotę rzeczy, nie dając się olśniewać temu, co zewnętrzne, zrozumieć samą ideę. Idea bowiem jest najważniejsza — dodaje, ilustrując przykładem —niech Pan spojrzy na to, co dzieje sie w Hiszpanji? Tam młodzież uniwersytetów przeciwna jest rządom gen. Primo de Rivera, a to dowodzi, że system ten nie zawiera w sobie idei i źle przez to wróży o jego trwałości.

Po przyjęciu tej pierwszej uwagi stawiam pierwsze pytanie: z pośród zagadnień konstytucyjnych wybieram kwestję szefa rządu, prosząc o wyjaśnienie, czy wielkie atrybucje przyznane jego urzędowi, skupienie władzy w jednem ręku należy rozumieć jako urządzenia przejściowe, dostosowane do wyjątkowej osobistości Mussoliniego, czy też jest to pojmowane, jako instytucja stała? P. Forges nie każe długo czekać na odpowiedź, nawet przeciwnie, rozumie zagadnienie znacznie wcześniej, zanim ukończono jego określenie, oraz istotniej, niż brzmiała jego formuła; otrzymuję w odpowiedzi barwną improwizację europejskiego kryzysu ustrojowego.

Nasz szef rządu, Benito Mussolini — przyznaje z odcieniem dumy wybitny przywódca faszyzmu — jest w rzeczywistości człowiekiem wyjątkowym, ale charakter urzędu premjera, tak jak ustalony został w ustroju faszystowskim, jest niezależny od osobistości *il Duce*. Ażeby to zrozumieć, trzeba zdać sobie sprawę z tego, na czem polega dzisiejszy kryzys ustrojowy oraz z czego wyniknął. Polega on na tem, że trudno jest przy tym systemie rządzić (*crisi di regime nel quale e difficile governare*), wyniknął zaś na tle rozkładu w ustroju parlamentarnym instytucji premjera i rządu.

Jako tako było jeszcze przy rządach opartych o tak zwaną większość, kiedy przywódca stronnictwa wiekszości stawał się szefem rządu; pozycja jego jest nienajgorsza. Pozostało to poniekąd bez zmiany w kraju klasycznego parlamentaryzmu, mianowicie w Anglji: tam przywódcy dwu dobrze zorganizowanych partyj byli zgóry wyznaczonymi kandydatami na premjerów oraz mieli w łonie swego stronnictwa przygotowany gabinet, partje miały charakter instytucyj oficjalnych, mocne stanowisko *leadera* umożliwiało mu rządzenie, zaś odpowiedzialności, zarówno w ramach stronnictwa jak i wobec opinji narodu, były jasno ustalone. W ustroju angielskim wszakże dochodzi do poważnych zaburzeń z powodu napozór nieznacznego faktu pojawienia się obok dwu tradycyjnych stronnictw, trzeciego, Partji Pracy. Likwidacją wszakże zupełną instytucji premjera jest następna faza systemu parlamentarnego, w postaci tak zwanego „rządu koalicyjnego“. Wtedy szef rządu zamienia się w przewodniczącego rady ministrów, zajętego godzeniem i wyrównywaniem sprzecznych dążności poszczególnych stronnictw, wchodzących w skład gabinetu, zatraca możność rządzenia rzeczywistego, a odpowiedzialność za rządy gubi się w chaosie współdziałania kilku różnych ugrupowań partyjnych. Takim systemem rządziły się Włochy do roku 1922, tak rządzą się Niemcy, Francja i większość innych państw europejskich.

Reforma faszystowska postawiła sobie za cel (dziś już osiągnięty) zniszczyć warunki, które obaliły urząd premjera, a przez to wogóle instytucję rządu. Warunki te, a więc rozbicie polityczne społeczeństwa na liczne partje oraz przerosłe uprawnienia parlamentu wobec władzy wykonawczej. Zadanie to zostało dokonane z jednej strony przez partję faszystowską, z drugiej przez ustawę, określającą w nowy sposób odpowiedzialność szefa rządu przed izbą: jest on, jak wiadomo, odpowiedzialny wyłącznie za „dobrą administrację“ oraz dopiero trzykrotna uchwała nieufności zmusza go do ustąpienia, o ile nie zdecyduje się izby rozwiązać. W dalszym biegu naszego ustawodawstwa— kończy p. Forges — spodziewać się można bezpośredniego podporządkowania premjerowi pewnych działów administracji państwowej, dzięki czemu powstałaby specjalna dykasterja prezesa rządu.

W drugiem pytaniu opuszczam teren zagadnień ściśle konstytucyjnych i nawiązując do znanej teorji wybitnego socjologa włoskiego Pareto, powiadam, że system ustrojowy demokratyczno-liberalny przypisywał sobie, dzięki wyborczej metodzie powoływania wszelkich władz, najpełniejsze gwarancje t. zw. „krążenia elity“ czyli łatwość w usuwaniu ludzi i zastępowaniu ich nowymi.

Rzecz ma się w rzeczywistości zupełnie przeciwnie — replikuje energicznie wybitny faszysta — czyż demokratyczny ustrój, oparty na wyborach, nie wytworzył typu zawodowego polityka, który długie lata i najczęściej całe życie siedział w parlamencie, pomimo coraz nowych wyborów, z któremi zresztą nauczył się dawać sobie radę? A z drugiej strony, proszę się tylko przyjrzeć, jak przedstawia się ta sprawa w systemie faszystowskim: dokonywamy nieustannego i bezwzględnego doboru nowych ludzi, naprzykład nie dalej, jak przed kilku dniami, czytał Pan zapewne, że zmieniliśmy (rozumie się Wielka Rada Faszystowska) kilkudziesięciu sekretarzy partyjnych. Różnica pomiędzy metodą liberalno-demokratyczną a naszą polega na tem, że podczas gdy tam zostawali u steru wciąż ci sami ludzie, chwytający się, jak deski ratunku dla swoich osobistych karjer, coraz nowych idej, w naszym systemie idea wciąż jest jedna i tylko wciąż nowi ludzie ją przedstawiają.

Jako trzeci z kolei, poruszam problemat stosunku do masonerji, pytam czy był kiedy oparty w jakim sensie na kompromisie, nadmieniam o krążących twierdzeniach, że nie wszystkim odłamom tajnej sekty wydał faszyzm wojnę.

Faszyzm — odpowiada Dyrektor *„Tribuny“* ze stanowczością — zwalcza masonerję zasadniczo i bezwzględnie. Niema mowy o żadnem porozumieniu ani zgodzie z jakimkolwiek jej odłamem, nikt z rzeczywistych masonów nie znalazł się w ruchu faszystowskim, a jeżeli stali się faszystami jacy ludzie, których łączyły dawniej związki z wolnomularstwem, mogły to być jedynie związki przypadkowe i formalne, które nie wywarły wpływu na ich umysłowość. Faszyzm przeciwstawia się bezwzględnie nietylko wszystkim sektom masonerji, ale zwalcza i wykorzenia właściwy jej typ umysłowy (*mentalità*). Wszak jawna jest — i niewątpliwa wojna, którą toczymy z pacyfizmem, humanitaryzmem, materjalizmem i wszelkiemi innemi prądami masońskiemi, propagowanemi ostatnio i tak głośno, z trybuny genewskiej Ligi Narodów. — Główny zaś odcinek frontu tej naszej batalji oglądał Pan przedwczoraj: na święcie dziewięćdziesięciu tysięcy awangwardzistów, którzy zasilili milicję narodową. Tam właśnie, na froncie dorastających nowych pokoleń, wychowania młodzieży toczymy nasz decydujący bój z masonerją.

Po tej namiętnej deklaracji wojennej zwróconej pod adresem tajnych sekt wolnomularskich, zajmujemy się uniwersalnemi tendencjami i wartości ogólną faszyzmu: pytam mego ujmującego gospodarza, czy zdaniem jego ta synteza życia narodowego, jaką jest faszyzm, możliwa jest w innym kraju europejskim?

Faszyzm jest tworem czysto włoskim — stwierdza p. Forges—wartość jego jednak jest uniwersalna, tak samo jak wszystkich kreacyj włoskich od dwu i pół tysiąca lat. Taką wartość posiadał, w Italji stworzony, artystyczno-handlowy typ cywilizacji śródziemnomorskiej, taką była rola i znaczenie Rzymu w katolicyzmie, uniwersalne było *Imperium Romanum* — powszechne prawo rzymskie. Dziś faszyzm jest ratunkiem cywilizacji zachodniej, jest instytucją włoską, która wskazuje innym narodom, jak ocalić cywilizację. Słusznie nazywa Pan faszyzm syntezą: świat minionego

okresu żył w sekcjach, a wszakże człowiek jest jeden, ta sama istota odżywia się, myśli, wierzy. Wyrazem siły duchowej dzisiejszej Italji był akt uratowania liry, naszego pieniądza; szczytem syntezy — koncyljacja!

W zakończeniu rozmowy poruszam kwestję stosunków kulturalnych polsko-włoskich, informując o dużem zainteresowaniu i sympatjach do nowej Italji, które dają się zauważyć u młodego pokolenia polskiego. Pan Forges Davanzati, przyjmując te fakty do wiadomości ze szczerą radością, obiecuje poparcie rozwojowi tych stosunków ze swojej strony i wskazuje, jako na podstawę współdziałania, wspólność cywilizacji wobec protestanckiego materjalizmu Germanów.

ZDZISŁAW STAHL

ZAPOMNIANI RODACY

INFORMACJE o polskich kolonjach w Bośni wywołają niewątpliwie u niejednego czytelnika zdziwienie: Jakto, więc i tam, na Bałkanach, też nasi ludzie się znajdują i to nawet całe kolonje? W rzeczywistości niema nieomal kraju, gdzieby nie było większej lub mniejszej polskiej kolonji. Gnębieni przez rządy zaborcze, nie mogliśmy się we własnym kraju rozwinąć należycie, co oczywiście zwiększało w sposób wydatny naszą emigrację. Obecnie, w zmienionych warunkach politycznych, emigracja ta może stać się dla Narodu i Państwa cenną siłą, jeśli tylko we właściwy sposób roztoczy się nad nad nią opiekę.

Kolonje polskie w Bośni powstały na długi czas przed wojną światową (po roku 1890), zawdzięczają zaś swe powstanie polityce austrjackiej w anektowanych prowincjach bałkańskich. Polaków w Bośni podzielić możemy wogóle na 3 warstwy ludności: urzędniczą, robotniczą i rolniczą.

Pierwsza z tych warstw przed wojną dosyć liczna (w samem Sarajewie było przed wojną przeszło 500 urzędników Polaków), po wojnie znacznie zmalała, gdyż kto tylko mógł, starał się wrócić do ojczyzny. Mimo to, jednak po dziś dzień niemal w każdem miasteczku w Bośni można napotkać resztki tych urzędników, najczęściej emerytów, którzy, przeniósłszy się przed wojną z dawnej Galicji do Bośni, marzą tylko o tem, by swoje kości złożyć na ojczystej ziemi. Dzięki wysokiemu poziomowi uświadomienia narodowego, urzędnicy Polacy przedstawiali i do dziś dnia przedstawiają bardzo oporny materjał asymilacyjny. Niejednokrotnie sami ciężko walcząc z materjalnem położeniem, przecież nie wahali się ponosić wielkich kosztów, połączonych z posyłaniem dzieci do szkół polskich w Galicji. Dziś, kiedy po rozpadnięciu się Austrji, rozdzieliły ich granice, krzepią się niejednokrotnie jedynie lekturą polskich książek, wśród których, jak się przekonałem, Sienkiewicz naczelne miejsce zajmuje.

Druga warstwa bośniackich Polaków — to robotnicy, rozrzuceni niemal po całej Bośni. Większe ich skupienia znajdują się w Banialuce, Derweńcie, Trawniku, Turli, w Bosańskich Gradiszkach i Nowych Gradiszkach. Skupienia te wahają się między 50—300 osób, co, jak na miasteczko, przedstawia znikomą liczbę. Nadto ich siłę odporną zmniejsza ta okoliczność, iż zazwyczaj nie tworzą większych skupień, lecz toną prawie zupełnie w morzu miejscowej ludności. Kiedy jeszcze do okoliczności tak nieprzychylnych dla zachowania języka ojczystego, dodamy przeważnie niski wśród tych robotników poziom kulturalny, w połączeniu z nadzwyczaj małem uświadomieniem narodowem, to już zgóry możemy mieć wyobrażenie o stanie ich polszczyzny i polskości: prędzej czy później kolonje robotnicze rozpłyną się w morzu miejscowej ludności.

W przeciwieństwie do osiedlenia się warstwy robotniczej, polscy wieśniacy osiedlili się w większych, zwartych skupieniach. Przeważna część ludności pochodzi z Wołynia, dokąd też przybyła dla kolonizacji z Galicji lub niektórych powiatów byłej Kongresówki; byli to przeważnie małorolni lub nawet bezrolni. Kiedy na Wołyniu skończył się czas dzierżawy i nie można było tak łatwo zaspokoić wrodzonego głodu ziemi, poczęli oglądać się za jakąś lepszą krainą, gdzieby bez większych sum pieniężnych, a jedynie przez własną pracę można dojść do kilkunastu morgów własnej ziemi — przecież to zawsze szczyt marzeń naszego chłopa, zwłaszcza małorolnego. I właśnie otwarło się doskonałe pole do zdobycia ziemi na własność, ale aż na B a ł k a n i e. Tę rzadką sposobność wywąchali naprzód czescy koloniści na Wołyniu, a za nimi dopiero poczęły napływać, nieliczne zrazu grupki polskiej ludności.

Najlepsze, rozumie się, ziemie posiadali dotychczasowi mieszkańcy Bośni, Serbowie i Chorwaci. Mieli oni nawet dosyć ładne ziemskie mająteczki, ale, z powodu niezwykle niskiego stanu kultury rolnej, niejednokrotnie głodem na nich przymierali (niemal wyłącznem pożywieniem była kukurydza). Aż nareszcie przybyły *„Szwaby"* (*„Szwab"* dla Bośniaka— to każdy kolonista bez różnicy narodowości) i dokazali dziwnych rzeczy, bo oto potrafili doskonale wyżyć z dość małych działek ziemi, jedynie dzięki pracy i znajomości tajemnic kultury rolnej. Dla ilustracji niskiego poziomu kultury rolnej w Bośni wystarczy fakt, że kiedy jeszcze nasi koloniści do Bośni przybyli, Bośniak, chcąc kogoś uczcić i ugościć, częstował go ziemniakami lub nawet dawał mu *na poklon* (w darze) kilka tych rzadkich płodów ziemi, podobnie jak u nas chłop przywiezie z miasta dla rodziny „g o ś c i n i e c" w postaci kukiełki, czy innego rzadkiego na wsi smakołyku. Z przybyciem kolonistów stosunki zmieniły się nieco na lepsze, jest też niewątpliwą rzeczą, że koloniści, zwłaszcza niemieccy, polscy i czescy, w znacznym stopniu przyczynili się do podniesienia kultury rolnej w Bośni.

Jądro polskich kolonij stanowi okrąg b a n i a l u c k i (Banja Luka), a zwłaszcza okolice powiatowego miasteczka Prniaworu. Według przedwojennego spisu ludności (z r. 1910) w samym okręgu banialuckim było 8,972 Polaków, z czego w powiecie Prniaworskim 6,146 dusz. Jeżeli odejmiemy od tej liczby jakich 500 Polaków robotników, porozrzucanych po całym tym okręgu, to p o l s k i e j l u d n o ś c i r o l n i c z e j było przed wojną w okręgu banialuckim z górą 8 t y s i ę c y. Dane statystyczne z naszego konsulatu w Zagrzebiu wykazują w stosunku do stanu z r. 1910 znaczny przyrost tak, że dzisiaj mamy polskich kolonistów w okręgu banialuckim o k r ą g ł o 10 t y s i ę c y. Jest to przeważnie przyrost naturalny, gdyż z Polski— poza drobnemi wypadkami — już nikt nie przybywa, przeciwnie w ostatnich czasach zaczął się wśród kolonistów dosyć silny ruch kolonizacyjny do Brazylji.

Najliczniejszą osadą czysto polską jest Nowy Martyniec (s. chorw. Novi Martinac), liczący według urzędowego spisu jugosławiańskiego (1926 r.) 1570 mieszkańców. Nowy Martyniec — to nietylko najliczniejsza polska wieś w Bośni, ale zarazem jakby ognisko polskości i uświadomienia narodowego. Wokół Martyńca porozrzucane po okolicznych pasmach górskich, leżą inne polskie osady rolnicze, z których przedewszystkiem wymienić należy Rakowiec (Rakovac) liczący 1027 mieszkańców. Dalej idą drobniejsze skupienia, jak Gumjera, Dziewięcina, Kunowa, Bakińce Górne i Dolne, Nożyczko-Seliszte, Jadowica, Grabasznica, Smołnica, Milewac i in. Można i kilka dni wędrować po Bośni, obracają się wśród samych Polaków. Zauważyć bowiem należy, że wszystkie te wsie przedstawiają górski typ osad, to znaczy grupy domów są porozrzucane po pasemkach górskich, wskutek czego jedna wieś ciągnie się nieraz kilkanaście kilometrów. I tak np. sam Nowy Martyniec zajmuje tak wielki obszar, że według twierdzenia tamtejszych Polaków na dobrym nawet koniu przez jeden dzień nie możnaby go objechać. Powodem tego porozrzucania był nietylko górski teren, ale i sposób osiedlania się.

Przed przybyciem naszych kolonistów, a więc przed rokiem 1890, na miejscu dzisiejszych osad ciągnęły się lasy, nietknięte ludzką ręką. Kiedy rząd austrjacki ogłosił, że będzie rozdawał ziemię bezpłatnie, zaczęły się ściągać grupy naszych kolonistów; każdy z nich otrzymywał na własność szmat lasu (10—12 ha, tak zw. *carewinę* t. j. ziemię cesarską) z obowiązkiem płacenia dziesięciny. Niełatwa była to praca; trzeba było nieraz po kilka, a nawet kilkanaście miesięcy mieszkać dosłownie pod gołem niebem lub w skleconym naprędce szałasie, aby wreszcie wyrąbać około 2 — 3 morgów lasu i jako tako się zabudować. Pod ręką naszego kolonisty padały odwieczne lasy i wkrótce na miejscu dawnej puszczy zaszęły się ukazywać chaty, kryte jużto słomą, jużto gontami, bądźto powstawały typowe ruskie lepianki, zależnie od tego, z jakich stron osadnik przybył i do jakiego typu domów był przyzwyczajony. Zależnie też od rodzinnego miejsca kolonistów pojawiły się różne polskie obrzędy i zwyczaje, i w głuchej puszczy bośniackiej zabrzmiała polska mowa.

Po wykarczowaniu lasów ziemia była przez kilka lat bardzo urodzajna, nie wymagała wogóle żadnych nawozów i dzięki temu mogli sobie koloniści stworzyć dosyć dobre podstawy egzystencji, z biegiem jednak czasu ziemia wyjałowiła się do tego stopnia, że dziś bardzo często, zwłaszcza na przednówku, zagląda do naszych osadników—głód. Przez sprowadzenie sztucznych nawozów spodziewają się koloniści podniesienia wydajności ziemi; wyłoniła się potrzeba założenia kółka rolniczego, któreby mogło zająć się temi, tak ważnemi dla kolonij sprawami. Ponieważ znaczna część naszych osadników należy po dziś dzień do obywateli państwa polskiego, więc tem jest im trudniej utrzymywać łączność z gospodarskiemi *„zadrugami"* jugosłowiańskiemi; zdani są przez to na własne siły, które przy zgodzie i jednomyślności zupełnieby wystarczyły. Niestety, wewnętrzne spory coraz bardziej spoistość naszych kolonij rozluźniają. Obawy budzi zwłaszcza emigracja do Brazylji; gdyby przybrała ona masowe rozmiary, to po rozerwaniu zwartych szeregów kolonistów w krótszym czy dłuższym przeciągu czasu pochłonie pozostałych morze serbsko—chorwackie.

Osadnicy nasi, mieszkając obecnie w zwartej masie, mogą dosyć dobrze bronić się przeciwko obcym wpływom, które przynajmniej dotychczas są wprost minimalne. Widać to doskonale po języku naszych kolonistów bośniackich: pozostał on czysto — polski. Wpływ języka serbsko-chorwackiego redukuje się niemal wyłącznie do nielicznych zapożyczeń słownikowych, z zakresu zwłaszcza tak zw. „języka urzędowego" (obszerniej o tem pisał Dr. M. Matecki w czasopiśmie „Język Polski", Kraków 1927, rocznik XII, zesz. 4). Trzeba zaznaczyć, że warunki utrzymania polszczyzny i polskości są tutaj dosyć ciężkie, dwa bowiem decydujące na wsi czynniki, kościół i szkoła są chorwackie. Przed wojną mieli Polacy 4 własne szkoły, 3 prywatne i 1 publiczną, dwujęzyczną, obecnie zaś dopiero po wielkich staraniach rząd jugosłowiański zgodził się na nadobowiązkową naukę języka polskiego. Wygląda to nadzwyczaj dziwnie, tak w porównaniu ze stosunkami przedwojennemi, jak też z traktowaniem innych mniejszości narodowych. I tak Czesi n. p. mają kilkanaście szkół z wykładowym językiem czeskim — naszym zaś kolonistom pozwala się zaledwie na nadprogramową naukę języka polskiego, za którą, rozumie się, sami osadnicy muszą siłom nauczycielskim dopłacać. Nasze placówki zagraniczne powinny zająć wobec takiego traktowania naszych postulatów odpowiednie stanowisko.

Znaczna jednak część obowiązków spada również na społeczeństwo, które powinno roztoczyć opiekę kulturalną nad naszymi braćmi w Bośni, przez zorganizowanie towarzystw (kółek) rolniczych, założenie lub pomnożenie istniejących bibljotek, czytelni i t. p. Jeżeli więc postaramy się o to, aby nasi koloniści w Bośni mieli polskich księży i nauczycieli, jeżeli dopomożemy im do zorganizowania się w towarzystwa rolnicze i oświatowe, to o polskość naszych kolonij bośniackich możemy być zupełnie spokojni. Jak zaś wielką rolę odgrywa uświadomione społeczeństwo emigracyjne, nie trzeba chyba dodawać; ostatnia wojna wykazała to w sposób zupełnie przekonywający. Rozumieją to doskonale n. p. nasi pobratymcy Czesi, którzy roztaczają pieczołowitą opiekę kulturalną nad swoją emigracją, czy tylko my jedni mielibyśmy tego niedoceniać?

Belgrad STEFAN KOTWICA

W OGNIU WALKI

SPRAWA przedstawia się następująco:

W piśmiennictwie i w publicystyce polskiej pracuje obecnie około *plus minus* 260 semitów, demi-semitów, semisemitów, chrzczonych, nie chrzczonych, niedochrzczonych, pseudonymowych, anonymowych, jawnych, tajnych, bardzo utalentowanych, średnio, wcale, zuchwałych, skromnych, głośnych, cichych, sławnych, osławionych, starszych, młodszych, najmłodszych. W każdym razie przygodnie i pobieżnie licząc *plus minus* 260. Przyrost miesięczny można liczyć obecnie na 10%. Jeżeli tym tempem pójdzie dalej, mniej więcej koło roku 1960, Polacy wyznania dosłownie chrześcijańskiego, to znaczy pełnej krwi Polacy stanowić będą odsetek już tak minimalny, że i z egzystencją i z twórczością czy też tylko z produkcją ich społeczeństwo liczyć się nie będzie, gdyż będą

tworzyli tylko jakąś grupę regjonalną, żyjącą gdzieś na dalekiej prowincji ,może na Pokuciu może na Polesiu, może wśród Kurpiów, którzy ich przygarną.

Już obecnie tych około 260 rodaków wyznania Mojżeszowego gra rolę bezwzględnie dominującą i supremacja ich nie ulega dyskusji aczkolwiek na samym froncie figurują jeszcze nazwiska polskie, oczywiście tylko w pierwszym szeregu, na pokaz, dla wywołania złudzenia, że „wszystko tak jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło". Tych dwustu sześćdziesięciu powojennych, adoptowanych Polaków dyryguje naszem życiem duchowem, narzuca całej inteligencji polskiej swoje kryterja, decyduje o wartości i rynkowości firm w piśmiennictwie, nadaje patenty na nieśmiertelność i „pobytkarty", na wziętość i modność, dopuszcza na Parnas, releguje z Parnasu, podbija walory na giełdzie czytelnictwa, względnie skazuje na powolną ale nieuchronną śmierć głodową. O tem, żeby bez konsensu tych 260 ktokolwiek mógł się dziś przepchać i wybić w piśmiennictwie polskiem już nie ma mowy. O tem, żeby ktoś popadłszy w bezwzględną kolizję z tymi 260 mógł żyć w piśmiennictwie i z piśmiennictwa niema już mowy. Wolno mu oczywiście jeszcze bytować gdzieś na uboczu, i czynić Syzyfowe wysiłki, by się wydobyć z toni zapomnienia i przemilczenia, ale o tem, żeby jego głos przedostał się przez mury Jerycha i choćby dosłyszany był w metropolji, o tem i marzyć niech się nie waży!.. *Care illusioni.*

W ostatnim sezonie zimowym debiutowało na scenie literackiej kilkanaście osobistości nowych, między któremi i panna Hanna Mortkowicz i pan Pomirowski Leon i pani Herminja Naglerowa i wogóle tym podobne. I oto gdzie wzięło się do ręki jakiś perjodyk, czy dziennik, czy prowincjonalne nawet pisemko, tam wszędzie czytało się referaty krytyczne o Hannie, o Herminji, o Leonie i t. p.

Szczególnie ostatnie utwory pani Naglerowej wywarły na krytyce (szczególniej w organach oficjalnych) wprost wstrząsające wrażenie; dziesięciu piszących panów zastanawiało się dłużej lub krócej nad tem, do czego to kiedyś może dojść ten talent, jeżeli rozwijać się będzie i potężnieć w tak zawrotnym tempie, w jakiem dotychczas na oczach naszych się wzmagał. Byli wprawdzie i tacy, którzy w Hannie Mortkowiczance raczej dopatrywali się przyszłej Safony słowiańskiej, większość atoli wawrzyny Deotymy gotowa była pleść autorce „Matowej Kresy" (*sic*).

Również punktualny i mocny rezonans w krytyce znalazło pierwsze dzieło z zakresu nowej metodologji krytycznej p. L. Pomirowskiego; cały szereg uprzejmych kolegów poświęcił debiutowi pracowitego zresztą decernenta i recenzenta analityczny wysiłek, szukając głębin na mieliznach talmudycznej grandilokwencji.

Pół roku temu natomiast wyszła książka pod tytułem, jakże w tym wypadku usprawiedliwionym: „W OGNIU WALKI". Wydrukowaną została nie przez któregoś z renomowanych nakładców ale ryzykiem i sumptem obywatela drukarza, poczuwającego się do kulturalnego obowiązku. Dotychczas o tej książce nie pojawiła się w prasie polskiej ni jedna notatczyna! Ani jeden recenzor nie przeciął jej stron.

Gdy na innych sypią się ordery i nagrody, gdy inni znaleźli jakie takie przytułki to w dyrekcjach to w redakcjach, gdy inni jako tako z wydawcami i z publicznością dają sobie radę, wiążą koniec z końcem i początkiem, gdy inni nowocześni nasi Judosłowianie raz po raz wyjeżdżają sobie zagranicę, w urzędowej i pro-urzędowej prasie rozlokowani wygodnie, wykładają nam, tępym Lechitom rudymenta państwowości, patrjotyzmu polskiego i rafinady europejskiej, suto za to w miarę możności opłacani, autor „W OGNIU WALKI", odkąd ta Niepodległa nastała, z roku na rok pauperyzuje się i proletaryzuje, ale to najdosłowniej i przeżywa ten złoty wiek, *aurea aetas* pierwszego dziesięciolecia poprostu jak Hiob cierpliwy, jak Diogenes w beczce, jak Łazarz. Zastanówcie się tylko kochani Polaczkowie nad tem, co tu sprezentuję: p. Hieronim Cohn (Hieronimko) mówmy szczerze, wycirus kawiarniany, asystuje w Paryżu przy uroczystościach narodowych, zasiada w fotelu przy ambasadorze, a *pour passer le temps* jedzie na wieś wielkopolską do państwa Chłapowskich. Pana Jellentę-Hirszbanda, starego fumistę i estetyzującego szarlatana odprowadza na kolej generał Stachiewicz z oficerami, bo wyjeżdża pierwszą klasą, dyplomatycznym paszportem opatrzony do Brukseli, by tam wygłaszać pean na cześć dyktatury. Arogancki a szajgecowaty Wassercug daje u siebie recepcje, a podjeżdżają szeregiem auta z orłami polskiemi i dygnitarzami. Inny piszący żydek aż z Kijowa, fetuje znów u siebie muzyków węgierskich i gości u siebie ministra spraw „zaglenicznych". Tamten meches jedzie reprezentowaćp olski *Penclub*, inny meches — polski związek autorów dramatycznych.

A tako jako wiedzie się nawet i Aryjczykom czy półarjom. Jednym stałą pensję wypłaca Ossolineum innym zafundowało pisemko tygodniowe M. S. Z. (żeby jakoś legalnie pokryć bakszysz p. Ehrenbergowi). Innym funduje się kwartalnik, byle tylko grzecznie się sprawowali. Tamci stawiają sobie domeczki na Żoliborzu. Inni znowu za świnoderje w Teatrze z tantjem ciułają fortunki. I jakoś się tam wszystko plecie na tym tu Bożym Świecie.

Autor: „W OGNIU WALKI" omalże właściwie ginie sobie zwolna z nadmiaru postu i wstrzemięźliwości. Gdzieś tam w Kazimierzu nad Wisłą mieszka, ale coraz rzadziej głos zabiera, cichnie, milknie, może więdnie? Niema go w Warszawie, nie widzi się go w Polsce, nie czytuje stale, nie cytuje, nie konfiskuje, nie wlicza w regestr znanych, cenionych, wybitnych, niema go wśród „Strażaków" ,literatury, niema mowy o tem żeby mu p. Kaden pozwolił kandydować nawet za lat 10 do listy pretendentów na nieśmiertelność. Autor „W OGNIU WALKI" jest poniechany, wyobcowany, wygryziony, wypchnięty, postawiony za wszelkie nawiasy i parkany, jest poprostu taki „żołnierz nieznany".

Wat jest znany, Włast znany, Cat, Pat jest znany, Broniewski, Bronowicz, Broniewicz, Braun, Braunstein, Bronstejn i t. p. znani, uznani. Autor „W OGNIU WALKI" jest... nieznany.

Inni żołnierze,.. znani; eufermy literatury, forysie, ciury, pokraki, zdechlaki, kaleki: znane. On jest „żołnierz nieznany". O panach Breiterzu i Peiperzu wiedzą już nawet w Nieświeżu. Ostatnio na szerokie wody wypływa Laskowski-Hulka. Jan Neponucyn Müller dużo swego czasu pieniącego się piwa w Granadzie nawarzył a Przyboś też zapowiada się ostro. Ileż to nazwisk codzień nowych a mocarnych! Jakżeż to łatwo teraz z dnia na dzień zyskać rozgłosek, który jest powojennym surogatem sławy!

Autor „W OGNIU WALKI" nadal na arenie *nomen ignotum*. Pozornie. Wszyscy wiedzą, że tam gdzieś taki jest, ale wszyscy udają, że go niema i żywią iluzję, że go już nie będzie. Sami ze sobą polemizują z wielkim rejwachem. Toczą boje, to o Boya to o Boyego, ważni czynią się, interpretują, analizują. Rozdymają sobie pacholiki wzajem baloniki swoich indywidualności malenieczkich, szarutkich, wątluchnych, chadzają sobie pob oisku na szczudłach, żeby się wydać wielgusami, gadają do siebie o sobie przez megafony; patrzą na siebie przez szkła niemożliwie powięk

szające... a autora „W OGNIU WALKI“ poprostu nie widzą, nie „spostrzegają“... Spał często Homer to może śpi i ten Samson... Nie budzić go tedy nawet inwektywą, bo może się z pozornego letargu rozczmychać i zacznie oślą szczękę prać i Syfilistynów.

No i tak się wreszcie stało, że Stanisława Pieńkowskiego niema. *Absens. Vacat.*

Z powodu? Z powodu, że mówi tylko prawdę. Pełną, całą, bez reszty, stuprocentową prawdę. My wszyscy, dookoła i my zbliska mówimy półprawdy i ćwierć prawdy i półćwierci prawdy a on jeden mówi sobie poprostu całą. Zawziął się w tem, zacietrzewił, zaindyczył, poprzecinał wszystkie druty kompromisów, konwenansów i konwencyj, odgraniczył i odseparował od wszelkiego współżycia z relatywnościami i został kaznodzieją czystego integralnego sarmatyzmu, wołającym na puszczy jedną tylko prawdę, swoją prawdę, ale pełną,

Jest to prawda o niebezpieczeństwie żydowskiem w Polsce. Dziś nieaktualna, niemodna, niepopłatna, niepopularna, antyrządową, omal antypaństwowa, omal antypatrjotyczna. Dziś t. j. rok 1929 a raczej rok: „5689“...

Niebezpieczeństwo to istnieje, jak wiadomo, na całym globie, tu i owdzie w spotęgowanem, maksymalnem nasileniu. Na całem też globie jest, było i będzie niebezpieczeństwo to wysuwane na plan pierwszy, jako moralna zmora zawisła nad chrześcijańską ludzkością. Grożąca stale supremacja, względnie dyktatura Semitów zwalczana była przez najprzedniejsze umysły Arjów, a bywało że i Semitów samych także. Pisze naprzykład semita Weininger w „*Geschlecht und Charakter*“:

„Wybitni ludzie byli wszyscy zawsze antysemitami (Tacyt, Pascal, Voltaire, Herder, Goethe, Kant, Jean Paul, Schopenhauer, Grillparzer, Wagner) a pochodzi to stąd, że posiadając w sobie znacznie więcej elementów psychicznych od innych ludzi, więcej też się rozumieli na żydostwie, niż inni...“

Szereg tych wybitnych umysłów ludzkich możnaby jeszcze pomnożyć wielokrotnie. Nawet taki erudyta koszerny jak nasz p. Wassercug nie zdaje sobie sprawy, względnie nie chce nic wiedzieć i nic słyszeć o tem, jak potężne umysły nie zachwycały się takim gatunkiem *homo sapiens*, jakiego właśnie p. Wasserzug-Wasowski jest klinicznym, okazowym reprezentantem. Jakżeż to mocno ostrzegał Rosję i świat przed niebezpieczeństwem hegemonji żydowskiej Dostojewski! Jakąże to furją niepohamowaną dał się unieść Balzac, zobaczywszy na oczy po raz pierwszy żydostwo polskie w swem „*Itineraire de Paris a Wierzchownia*“ i „*Lettres sur Kiew*“...

Z jaką że to niepohamowaną dziką pasją wyrażają się o zaborczości, żarłoczności, chciwości i faryzejstwie rasy radcy Wassercuga tak przednie, postępowe, nowoczesne intelekty, jak Giovanni Papini w „Dziejach Chrystusa“, jak G. K. Chesterton! Nie miał nic nigdy z nimi do czynienia wytworny Elemir Bourges, a jak to pisze w „Zmierzchu Bogów“?

„Żydzi wznieśli się teraz ponad głowy królów. To plemię żarłoczne i wrogie, zajęte nieustannie wysysaniem ludów przy pomocy okrutnych sposobów, jakie wynaleźć może skąpstwo, zgromadziło z biegiem wieków w podszewce łachmanów swoich wszystkie skarby i całe złoto świata; stąd stało się, że kilku ohydnych żydów trzymało w niewoli królów, prałatów, cesarzy, ziemię, pracę, handel, a nawet pokój i wojnę i rozporządzało się nimi wszechwładnie. Ich łupiestwa, przekształcone na wiedzę i na strategję finansową, zapewniały im panowanie nad tą epoką, która oddaje cześć złotemu cielcowi. Wszystko korzyło się, wszystko schylało głowy przed nimi; ich córki wchodziły do łoża książąt i wnosiły do najczystrzej krwi chrześcijańskiej cuchnące błoto Ghetta“.

Nie będziemy tutaj dla uwypuklenia bohaterskiej postawy St. Pieńkowskiego, Savonaroli—Sarmatyzmu czy Piotra z Amiens, wzywającego do świętej krucjaty przeciw naszej nowej okupacji, cytowali całego szeregu innych wielkich pisarzy. Przygodnie i pobieżnie tylko zwrócimy uwagę na jedno!

Nahalne anektowanie Mickiewicza przez naszą masońską Schylockrację (znów ostatnio z okazji odsłonięcia pomnika w Paryżu wyzywająco proklamowane) raz na zawsze powinno się wyświetlić. Jeżeli bowiem jest w „Panu Tadeuszu“ postać ...Jankiela, to jest i „Zosia“, która w księdze „zajazdu“:

„Krzyczała, Sędzię objąwszy rączkami
Jako dziecko od żydów kłóte igiełkami“.

Wierzyłże tedy w mord rytualny poeta, autor wiersza o „Rabinie i pchle“? Możliwe... jeżeli w „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego“ pisze Pielgrzym z pomnika paryskiego:

„Żydzi starego zakonu miłości nie mają ku bliźnim i zesłani są na wytępienie Chananejczyków“.....

„Są to saduceusze i faryzeusze, którzy kłócą się o tref i koszer, a nie rozumieją, co to jest kochać i umrzeć za prawdę...“

„A kiedy mówią o wojnie naszej dla zbawienia narodów, nie przeczą, że: „dobrze zrobiliście“, ale że niewcześnie, jako ci doktorowie, co ganili Chrystusowi, że w szabes śmiał ludzi uzdrawiać i krzyczeli: godzi się w szabes uzdrawiać?

„...Słyszycie, że mówią żydzi i cyganie i ludzie z duszą żydowską i cygańską: „Tam ojczyzna gdzie dobrze“! A Polak powiada narodom: tam ojczyzna gdzie źle. Bo gdzie tylko w Europie jest mniej wolności i o nią walka, tam jest walka za ojczyznę i tą walką bić się wszyscy powinni“!

Tak to coś po Pieńkowsku pisał swego czasu Adam Mickiewicz; szkoda, że to i takim „bliższym“ nam wieszczem nie zajął się teraz więcej Boy-Komentator.

Taksamo zachłystywal się kiedyś inkryminowany p. Wassercug w kabotyńskiej ekstazie nad Staszicem, ale jedno szwindlarsko przemilczał, to jest to, że właśnie Staszic jest w pełni prekursorem... Pieńkowskiego i że gdyby dziś żył i działał *pater* Staszic, tenże p. Wassercug-Wasowski poświęcałby mu czelnie tyle swych bezkarnych szajgecowskich napaści, ile poświęca dzisiaj „Polakom w Polsce“. Taksamo affektował p. Wassercug-Wasowski swój rzekomy kult dla Prusa jako „postępowca“ w przeciwstawieniu do Sienkiewicza „militarysty“ i „imperjalisty“. W tym wypadku pociągnięty i oczarowany rzekomym prosemityzmem Prusa (szczególnie w „kronikach tygodniowych“) nie znał, bo nie mógł znać jeszcze, listu autora „Placówki“ do Henryka Wiercieńskiego (drukowanego w „Głosie Lubelskim“, Czerwiec 1922) gdzie jest taki ustęp:

„Zawiniłem względem społeczeństwa polskiego, broniąc żydów przez lat wiele przed zarzutami, jakie na nich ze strony społeczeństwa polskiego spadły. Obowiązek sumienia nakazuje mi ten błąd naprawić wedle sił moich. Ale jeżeli żydzi umieli tak wpłynąć na moje przekonanie i wyprowadzić mnie na manowce — mnie, który nigdy niczego od nich nie potrzebowałem i żadnej pomocy ani przysługi od nich nie przyjąłem, mnie, patrzącego, jak mi się zdaje dość praktycznie na życie, to cóż dziać się musi z ludźmi w jakibądź sposób związanymi z żydami stosunkami, a tem bardziej zależnymi od nich“.

Zestawmy teraz erę Prusa przedwojenną z czasami obecnemi, z czasami względnej hegemonji Semitów w Europie i w Eurazji, bezwzględnej w Nowym-Yorku, w Paryżu, w Salonikach, w Wiedniu, Frankfurcie, Berlinie, w Warszawie, Łodzi, Krakowie!..

Ale jeżeli Bolesław Prus bił się w piersi, że zawinił nie broniąc autochtonów przed najazdem nazbyt licznych gości, przed *penetration pacifi-*

que Semitów w Polskę, to Stanisław Pieńkowski bić się w piersi za takie zawinienie nie potrzebuje. On, przejąwszy spadek po długim szeregu antenatów ideowych począwszy od 17-go wieku (ostatnio po Janie Jeleńskim i Andrzeju Niemojewskim), w miarę sił i środków swego talentu pisarskiego i swej wiedzy żydoznawczej spełnia swą misję wytrwale i niezłomnie. Miejmy nadzieję, że jest dopiero w połowie drogi swojej działalności, do której zintensywnienia i zaktywnienia dopiero ludzie dobrej woli mu dopomogą.

Żeby wyrobić sobie wyobrażenie, jakie to zadanie czeka czy jego, czy też tego jeszcze innego „nieznanego żołnierza" przyszłego ruchu wyzwoleńczego w Polsce, który gdzieś tam z zacisza obserwując pilnie nową okupację, szykuje się i zbroi do wejścia w szranki, trzeba zawsze pamiętać, co raz w ataku nieposkromionej szczerości wypowiedział ten pan Słonimski, mojem zdaniem szermierz pansemityzmu kuty na cztery nogi i w swoich kampanjach wyrębujących Semityzmowi przejścia do wszystkich miejsc dotąd niedozwolonych, miejscami jako strateg genjalny.

Otóż w swoim artykule o „Drażliwości Żydów", rzekomo demonicznie kontrsemickim, a nadającym mu w oczach kroci naiwnych głupców lechickich patent na „objektywnego" niby pozażyda czy ponadżyda, ten kwintessencjonalny Semita zeznał:

„Polska nie znosi żydów; ale jak żydzi nie znoszą Polski, mało kto zdaje sobie sprawę".

Aby módz przeszwarcować zdanie drugie, nadające mu pozór bierzmowania w polskości w oczach tępego ogółu, skłamał świadomie i oszukańczo p. S. zdanie pierwsze: „Polska nie znosi żydów", zaczem suggerowanie tego poglądu, jakoby nieznoszenie Polski przez żydów usprawiedliwione było poniekąd ogólnonarodowym, rasowym, gromadzkim antysemityzmem. Jest to kłamstwo, „pochlebstwo", łeż (od łgać), pochlebstwo tkwiące we wmawianiu w Polaków, że są rasą czujną, odporną i instyktem samozachowawczym obdarzoną, twardą jak krzemień; kłamstwo zaś tkwi w tem, że już jako szczep, jako rasa Polacy byli, są i może nadal będą najmniej odporni, najmniej czynni, najbardziej bierni wobec pokojowej penetracji, już w XIV wieku zaczętej. Pozorny, epidermalny „antysemityzm", wyładowujący się wyłącznie a sporadycznie w t. zw. „pyskowaniu" najlepiej charakteryzuje mało znana anegdota-przypowieść żargonowa, mniej więcej następująca:

Każdy Polak jest antysemitnik. Prawda? Jeżeli go zapytacie co myśli o żydach, to odpowie: Żydzi? Naród oszustów, lichwiarzy, handlarzy żywym towarem...

— A co pan myśli o starym doktorze Pomerancu?

— No Pomeranc to wyjątek. To wzór porządnego człowieka. Takich mało.

— A o młodym Grossternmanie?

— Nie mam dość słów. Jedyna zacna dusza w tej całej bandzie.

Tak można wyliczyć jeszcze z ośmiu, dziesięciu żydów, a Polak oddzielnie o każdym powie coś dobrego.

A teraz sprobujcie pytać znajomego „kachanego": Co pan myśli o swoich? Jakto co myślę? Naród Spinozy, Majmonidesa, Einsteina. Naród, co wam dał Chrześcijaństwo: naród muzyków, lekarzy, dobroczyńców ludzkości, jednem słowem wybrany naród, co to obwijać w bawełnę.

— No a co pan myśli o Jakobsohnie?

— No o tym oszuście nie rozmawiajmy.

— A o Stieglitzach ojcu i synu?

— Niema takiego kryminału, gdzie obaj nie powinni zamieszkać dożywotnio.

— A Perlenschwantz? Bardzo solidny kupiec.

— No proszę pana, to już poprostu świat się kończy. Jeżeli pan Perlenschwantza takiego łapserdaka, fałszerza, kryminalistę, lichwiarza nazywa...

To są dwa antysemityzmy polski i żydowski. Otóż przeciw temu pierwszemu specjalnie zawziął się ortodoks rasowości, nieprzejednany i nieugięty, St. Pienkowski, Bayard swojej doktryny i swoich wierzeń, ale i Don Kiszot w naszej obecnej konjunkturze międzynarodowej, gdy bez protekcji *Wall-Street*, bez patronatu Genewy i bez paktowania z Shylockracją wszechświatową, ostać się może tylko naród naprawdę silny, mocno wewnętrznie zorganizowany. St. Pienkowski nie uznaje i nie toleruje pod żadnym pozorem tego typu słowiańsko-polskiego rozmiękczenia w ustosunkowaniu do agresywności, i zaborczości rzutkich, przedsiębiorczych, inteligentnych i władczych Semitów, które pozwala każdemu szlachcicowi mieć swojego jednego jedynego żyda.... „wyjątkowego", „nadwornego".

Zdaje się nawet, że najbardziej go wyprowadza z równowagi nie prosemityzm jawny, ale antysemityzm z zastrzeżeniami, warunkowany, koncesyjny, kompromisujący, stosujący w praktyce starorzymską maksymę: *divide* oczywiście już bez *impera*, skoro jedyny dzisiaj i m p e r j a l i z m faktyczny, to imperjalizm pansemicki. I w tem leży tragizm jego Don Kiszoterji, w straceńczym uroku walki *a outrance*, walki czasem bez zastosowania nowoczesnych form taktyki i strategji. Jest to zaiste najczystszy romantyzm i jedyna rewolucyjność naszych dzisiejszych czasów.

(dok. nast.) ADOLF NOWACZYŃSKI

PAMIĘĆ

Wierna ma pamięć wraca nad jawą przez kładki
W dom rodziców, nad którym pszczoły w lipach grały, —
Oczyma dziecka dom ten odpoznając cały,
Dom, pełen trudu ojca i troski mej matki.

Stamtąd przez drzwi, co głosem znajomym skrzypiały,
Ze ścian białych patrzące prowadzą mnie dziadki
Dalej w świat, przez otwarte już czasów rogatki
Na jakieś zamki, pełne koloru i chwały.

Na zamkach jakieś króle wspaniałe w koronie,
Króle ojce, o przyszłość zatroskane moją
Twarde swoje na mieczach położyły dłonie.

I wiem że dzisiaj za mną wszystkie czasy stoją,
Że w sercu mojem troska serc tysiąca tonie.
Z nią w przyszłość! Z niej mnie żadne losy nie rozbroją!

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

LIBERUM VETO

Prasa przedwojenna. — Prasa najemna. — Jej organizacja. — Kłopoty „sanacji".— Rozprawa podatkowa.— Wyobrażenia dobrze uposażonych. — Daremne wysiłki.

PRZED wojną, podczas całego okresu niewoli prasa polska była częścią literatury i miała swój rozdział w historji piśmiennictwa na równych prawach z nauką i poezją. To miejsce należało się jej słusznie. Była ona bowiem organem myślowym i uczuciowym pewnych jednostek albo grup złączonych powinowactwem duchowem, składających publiczne nauczycielstwo i przewodnictwo społeczeństwa. Odtrąciwszy nieznaczny procent przedsiewzięć spekulacyjnych, które zresztą działały i walczyły pod sztandarem jakiejś określonej ideologji, większość czasopism była rzeczywiście chórem głosów szczerych i zależnych wyłącznie od swoich programów. Z wyjątkiem paru wydawnictw urzędowych, nie pozostawały one w żadnej podległości zewnętrznej, w żadnej służbie i najmie, nie pobierały żołdu, żyły albo z ofiarności swych opiekunów, albo z prenumeraty. Skrępowane więzami cenzury, nie mogły wypowiadać się całkowicie, ale odsłonięta część ich oblicza nie wyrażała ani kłamstwa, ani cudzego nakazu, przykryta zaś miała zasłonę tak przejrzystą, że przez nią można było dostrzec rysy i ruchy prawdziwe. Wytworzyliśmy osobną sztukę pisania i czytania „między wierszami", tę sztukę, zapomocą której porozumiewają się wszystkie ofiary tyranji, zarówno więźniowie polityczni, jak obywatele pozbawieni prawa wolności słowa.

Była to więc prasa narodu ujarzmionego, ale niewyrzekającego się samodzielności, był to język owych książąt i wodzów, prowadzonych w triumfie za rydwanem zwycięzców rzymskich, język jeńców, którzy w niewoli zachowali dumę, pragnienie i nadzieję wolności. Dziś warunki naszej prasy są odmienne o tyle, że władzę ścieśniania granic słowa publicznego przyjął rząd polski i że rozmnożyły się dzienniki najemne, żołdowe, nazwane kiedyś w Niemczech „prasą gadzinową" (*Reptilienpresse*).

Prasa ta pożerała dotychczas ogromne sumy jawnych i tajemnych zasiłków, ale jest ciągle zdezorganizowana, nieshamonizowana, stanowi rodzaj orkiestry, w której każdy instrument gra inną melodję i godzą się tylko w odgrywaniu hymnu w rodzaju współczesnego *„Boże carja chrani"* pod batutą Filipów z Konopi. Zdarzały się wypadki, że gdy jeden z gadzinowców oplatał się czule około jakiegoś ministra, drugi, karmiony z tej samej miski, kłół go jadowitem żądłem. Widocznie postanowiono doprowadzić gadziny do jakiegoś „uzgodnienia", bo oto dowiadujemy się, że redaktor największego *boa constrictor* jeździł do Niemiec dla obznajmienia się z ustrojem prasy, głównie wydawnictw Ullsteina. Tego rodzaju wyprawa nie może dotyczyć jednego dziennika, lecz całej gromady, przegląda w niej zamiar zorganizowania prasy najemnej o licznem pogłowiu. Naturalnie dla utrzymania jej będzie musiał budżet państwowy napęcznieć w rubrykach „funduszów dyspozycyjnych" i oszczędności, stosowane obecnie w dziedzinie wszelkich „inwestycyj", w tej ustąpią hojności.

Gdyby można było zapomnieć o tem wszystkiem, co w nas budzi odrazę do tego rodzaju przedsiewzięć, gdybyśmy mogli myślą przenieść się na stanowisko fabrykantów sztucznego życia, usiłujących zniszczyć jego naturalne sprężyny i zatamować jego naturalny rozwój, należałoby uznać potrzebę i celowość zorganizowania prasy najemnej i rozkazowej. W teraźniejszym bowiem rozstroju szerzy ona więcej wstrętu, niż sympatji dla swych żywicieli i nie zapewnia im pożądanych korzyści. Bez sztucznej pomocy władz administracyjnych prasa „sanacyjna" nie wprowadziłaby do sejmu dziesięciu posłów i nie usprawiedliwiłaby ani jednego występku. Gdy zacznie uwodzić wielopiórowemi umizgami, atakować przeciwników huraganowym ogniem a nie oderwanemi strzałami karabinów i kanonjerów, zwycięstwo może być większe i pewniejsze. Dziś już niema dla niej wzorów w Europie zachodniej, która mniej lub więcej zarzuciła hodowlę dziennikarskich „oficjozów" i zniosła hamulce dla słowa publicznego, ale za to na Wschodzie są udoskonalone i wypróbowane. Ponieważ zaś w mieszaninie naszego kotła politycznego znajdują się duże dawki carstwa i bolszewizmu, przeto naśladownictwo jest łatwe.

A poważnych kłopotów ma „sanacja" wiele, zwłaszcza gospodarczych, które nie dadzą się wyrwać frazesem, bo tkwią korzeniami w kieszeniach, garnkach, szafach i szufladach ogółu. Gdy w Warszawie 30 platform przewozi rzeczy sekwestrowane za niezapłacone podatki, gdy w miastach z tego samego powodu zamykają się sklepy i warsztaty rzemieślnicze, gdy folwarki ledwie dyszą zagrożone subhastacją a włościanie uginają się pod ciężarem powinności skarbowych, co pomogą błazeńskie zachwyty cyrkowców dziennikarskich nad owocami „radosnej twórczości", sofistyczne wykręty adwokatów zdzierstwa i marnotrawstwa i nieustanne wrzaski: „hurra!"

Przed kilku tygodniami byłem świadkiem wymownej sceny w jednym z magazynów futrzanych. Właściciel blady, wzruszony po rozmowie z dwoma przybyszami krzyczał: „Czego oni chcą? Płacę 96.000 podatku i to jeszcze nie dosyć? Prowadzę rzetelnie moje księgi handlowe, a oni wykryli jakieś winy, za które muszę zapłacić 5 miljonów kary! Słyszeliście państwo: 5 miljonów! Chyba wszystko rzucić i uciec!" Jeden z najpoważniejszych w kraju ziemian, utrzymujący rachunki swego majątku w nadzwyczajnej ścisłości, gdy mu przez kilka lat kwestjonowano prawdziwość wykazów dochodu, odmówił zeznań i wypuścił w dzierżawę majątek, który podniósł do najwyższej kultury i umiłował, z którym nie spodziewał się nigdy rozstać. Jak niegdyś za czasów pańszczyzny i łupiestwa austrjackiego w Galicji, obecnie również włościanie zaczynają się ubierać w łachmany z obawy, ażeby porządną odzieżą nie ściągnąć na siebie zwyżki podatków.

Przypuszczam, że mechanicy pompy podatkowej wiedzą coś o ludziach biednych i niezamożnych, że powiększając jej tłok, rozumieją, że on niektórych płatników wyssie zupełnie. Wątpię jednak, ażeby mieli tak plastyczną wyobraźnię, ażeby ona im przy wysokich pensjach pozwalała unaocznić sobie położenie ludzi, mających małe dochody, a zmuszonych płacić wielkie podatki. Nie wierzę, ażeby jakiś typowy minister lub dyrektor departamentu, nieudręczony brakiem środków na komorne, na ubranie dla siebie i swojej rodziny, na honorarjum dla lekarza, na kształcenie dzieci, na wydatki kuchenne, uprzytomniał sobie wyraźnie, jakiej to męki doznają tysiące ludzi, nie mogących zaspokoić tych wszystkich potrzeb, co to znaczy nie mieć groszów na markę pocztową, złotówek na bilet kolejowy, na trzewiki dla dziecka, na chleb dla kilku osób rodziny. Te obrazy nie przesuwają się przed myślą kapłanów fiskusa. Oni widzą tylko „konieczności państwowe", jak gdyby do tych konieczności nie należało, ażeby masa społeczna nie była głodna, obdarta i ciemna, jak gdyby to miało mniejszą wagę, niż fundusze dyspozycyjne, niż miljony wy-

dane na pasorzytów, faworytów, podróżników dyplomatycznych, rozmaitych delegatów i reprezentantów, przedsiębiorców i zarządców majątków państwowych, których nadużycia, marnotrawstwa i kradzieże przypadek wydobywa wtedy, kiedy już ich ani zatamować, ani odzyskać, ani ukarać nie można. Jest to widok tem smutniejszy, że społeczeństwo szczerze chce pracować, pomnażać dobrobyt i podnosić kulturę, że wytęża swoją energję i zdobywa się na szczęśliwe pomysły, że w tym wysiłku trzeba mu tylko ulżyć w dźwiganiu ciężarów państwowych i zapewnić pomyślne warunki rozwoju.

Jeżeli prasa „sanacyjna" pragnie w nie wmówić, że powinno być zadowolone z obecnej „twórczości radosnej", podejmie trud, któremu nie podoła nawet po zorganizowaniu się według wzorów Ullsteina. I na tej karcie przegra, jak przegrała na wszystkich innych. Żadna sofistyka, poparta setką dekretów, nie zmieni czterech działań arytmetycznych.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ZA SŁOWAMI CZYNY

W DNIU 12 b. m. na zebraniu spólnem Komitetu Przyjmowania Polaków z Ameryki i innych krajów zostały przed szerszem *forum* ujawnione fakty, które rozegrały się przed 6 tygodniami, a stanowią znakomitą ilustrację metod obozu obecnie rządzącego.

Od szeregu miesięcy istniał Komitet, na którego czele stali jako prezesi pp. min. Bertoni, gen. Górecki (z Banku Gospod. Krajowego), p. prof. Antoni Ponikowski i p. K. R. Miśkiewicz jako sekretarz generalny. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że musiał... nadejść okres przyjmowania wycieczek. P.p. „sanatorzy" powiedzieli sobie wówczas, że muszą *per fas et nefas* położyć silniej, niż to miało miejsce dotychczas, swą rękę na Komitecie, a zwłaszcza zastąpić dotychczasowego sekretarza generalnego przez „swego człowieka". Chodziło przecież o to, żeby rodacy, przyjeżdżający z Ameryki, byli przyjmowani w taki sposób, iżby ugruntować w nich przekonanie, że tu w „starej ojczyźnie" panuje w duszach i sercach... „sanacja".

W pierwszych dniach maja, na skutek podania się do dymisji dotychczasowych władz Komitetu, odbyło się jego zebranie ogólne, na którem wobec niemożności zgodnego ustalenia całej listy nowego Prezydjum wybrano Komisję Porozumiewawczą. Komisja ta w dniu 10 maja podpisała protokuł porozumiewawczy, ustalający skład nowego Komitetu Wykonawczego. Protokuł podpisali: ks. prałat Kaczyński i pp. Janusz Rabski, poseł Polakiewicz i poseł Cieplak.

Jak się później okazało, na dwa dni przed powyższym protokułem porozumienia, urzędujący prezes Komitetu, p. min. Bertoni „desygnował" na tymczasowego sekretarza generalnego p. posła Cieplaka (B.B.), który zwrócił się o wydanie mu sekretarjatu do dotychczasowego sekretarza p. Miśkiewicza.

Elementarna lojalność wymagała, aby wszelkie zmiany osobowe były potwierdzone przez nowy Komitet Wykonawczy, ustalony w protokule porozumiewawczym. Na tem stanowisku stanął p. Miśkiewicz. Poparł to p. Rabski w liście do prezesa prof. Ponikowskiego; oświadczając, że w razie usiłowania wywołania zmiany na stanowisku sekretarza generalnego poza Komitetem Wykonawczym—ustalonym w protokule—on swój podpis na protokule wycofuje.

Zaszedł wreszcie fakt, w pracy społecznej niespotykany. Zamiast zwołania zebrania Komitetu Wykonawczego, celem uzyskania jego ewentualnej aprobaty dla osoby, desygnowanej przez p. min. Bertoniego, nastąpiło... opieczętowanie lokalu przez policję i przekazanie lokalu p. Cieplakowi. Był to dla zapewnienia p. Cieplakowi stanowiska sekretarza — sposób oczywiście pewniejszy.

P. Miśkiewicz pod datą 13 maja na blankiecie uzędowym Komietu otrzymał następujący list od p. Cieplaka, który jako dokument chwili przytaczamy w całości:

Szanowny Panie!

Na mocy piśmiennej i telegraficznej prośby p. min. Bertoniego, prezesa Gł. Kom. Prz. W. P., p. Komisarz rządu na m. Warszawę wprowadził mnie jako prawnego sekretarza generalnego do lokalu przy ul. Foksal nr. 17 m. 15. Dziś rozpocząłem tam urzędowanie.

W porozumieniu z p. min. Bertonim oraz p. Komisarzem rządu proszę uprzejmie W. Pana o łaskawe złożenie na moje ręce:

1) kluczy od biurek i lokalu,

2) dokumentów i papierów, które są w posiadaniu W. Pana, a prawnie należą do Głów. Komitetu Przyj. Pol. z Ameryki lub generalnego sekretarza.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Marjan Cieplak.

Po wypadkach powyższych 31 członków komitetu wystosowało memorjał z żądaniem zwołania zebrabrania nowego Komitetu. Zebranie to odbyło się 12 czerwca. Prezes Komitetu, prof. Ponikowski zaznaczył, że wyjaśnienie sprawy udziału policji musi być odłożone z powodu nieobecności p. min. Bertoniego, którego zatrzymał w Poznaniu przyjazd ambasadora Noulensa. Należy zaznaczyć, że zebranie było odkładane specjalnie ze względu na chęć wysłuchania p. Bertoniego (P. Noulens, „nagle" przyjeżdżając, widocznie chciał zrobić p. Bertoniemu... niespodziankę), zaznaczył jednak, że nie stwierdzono po opieczętowaniu lokalu przez policję żadych nadużyć w sekretarjacie generalnym; przeciwnie, p. Miśkiewicz zostawił wszystko we wzorowym porządku.

Wobec odkładania wyjaśnień w sprawie tak skandalicznej *ad inifinitum*, tudzież wobec nie poddania pod głosowanie przez przewodniczącego, prof. Suligowskiego wniosku o wyrażenie *votum* nieufności dla p. Cieplaka — część zebranych opuściła posiedzenie, oświadczając, że odmawia Komitetowi prawa do reprezentowania całego społeczeństwa.

Nasuwa się następująca uwaga.

W kwietniu p. pułk. Sławek na zebraniu w klubie BB. oświadczył, że w przeciągu 2 miesięcy trzeba wszystko opanować lub rozbić. Za słowami nastąpiły czyny.

I.R.B.

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

ROZBROJENIE

SKŁAD nowego rządu angielskiego, oświadczenia jego członków, cały układ stosunków w Anglji — wszystko to potwierdza w całej pełni wyrażoną już na tem miejscu opinję, że w polityce wewnętrznej rząd p. Mac Donalda będzie bardzo umiarkowany, że—poprostu mówiąc—będzie miał ręce skrępowane przez silną opozycję konserwatystów i mających decyzję w swem ręku liberałów. Nowy rząd w dziedzinie wewnętrznej nie będzie mógł prowadzić polityki socjalistycznej, będzie prowadził politykę liberalną.

Zgoła inaczej będzie na terenie międzynarodowym.

Tutaj będzie p. Henderson, nowy minister spraw zagranicznych, miał zupełnie poparcie p. Lloyda George'a i będzie mógł w całej pełni rozwinąć program, który zyska poparcie stronnictw socjalistycznych w innych krajach. Symbolicznym niejako objawem tego współdziałania będzie wycieczka wybitnych przedstawicieli stronnictw socjalistycznych do Polski, wycieczka, która dla polityki międzynarodowej w ciągu kilku lat najbliższych może mieć poważne znaczenie.

Jest tedy rzeczą interesującą zdać sobie sprawę z tego, jaki będzie kierunek polityki zagranicznej rządu angielskiego, zwłaszcza w tych dziedzinach, które będą dotykały spraw polskich.

Zgóry trzeba powiedzieć, że nie należy posądać p. Mac Donalda i jego współpracowników o jakąś niechęć do Polski. Niema na to ani konkretnych dowodów, niema też po temu żadnych powodów. Mogą być nawet wśród nowych ministrów ludzie, którzy żywią sympatje uczuciowe dla naszego kraju. Byłoby poglądem bardzo naiwnym sądzenie, że rząd socjalistyczny angielski musi mieć tendencje antypolskie. Miałby niewątpliwie takie tendencje p. Lloyd George, jak je miał już przed dziesięcioma laty w czasie konferencji pokojowej.

Jest natomiast rzecz gorsza i niebezpieczniejsza: ogólna tendencja nowego rządu, wynikająca i z jego doktryny zasadniczej i z poglądów na współczesne położenie międzynarodowe, będzie skierowana w ten sposób, że dla polityki polskiej mogą nastąpić bardzo poważne trudności i niebezpieczeństwa.

Już dziś widać, że naczelnem zadaniem rządu p. Mac Donalda, hasłem, które rzuci, będzie r o z b r o j e n i e.

Dążenie do ograniczenia wydatków na flotę zmuszać będzie rząd angielski do szukania porozumienia ze Stanami Zjednoczonemi. Gdyby zaś porozumienie to w zakresie ograniczenia zbrojeń morskich zostało osiągnięte, wówczas nastąpi ścisłe współdziałanie między Stanami Zjednoczonemi a Wielką Brytanją w dziedzinie rozbrojenia na kontynencie europejskim.

Rozbrojenie i „pacyfikacja" Europy leżą zarówno w interesie Ameryki jak i Anglji. Kapitał amerykański chce spokojnej Europy, by mógł w niej znaleść pewne i duże zyski, tradycyjna polityka angielska nakazuje dążyć do uspokojenia kontynentu i ustalenia na nim równowagi sił, na terenie pacyfistycznej polityki spotka się pyrytanizm antysocjalistycznej Ameryki z purytanizmem socjalistycznej Anglji. Na kontynencie europejskim zaś znajdą wpływy i ideały anglo-saskie pomocników w postaci stronnictw socjalistycznych, lóż masońskich, przedstawicieli kapitału międzynarodowego, oraz interesów polityki niemieckiej...

Pacyfikacja Europy i rozbrojenie powszechne — to hasła bardzo pięknie brzmiące, nikt się nie ośmieli powiedzieć, że są one sprzeczne z najwyższemi ideałami ludzkości. A jednak! jeśli się jasno widzi logikę dziejów, jeśli się ma nieco wyobraźni, to trzeba sobie powiedzieć jasno i wyraźnie, iż rozbrojenie prowadzić musi z żelazną koniecznością do zniweczenia nowego, powojennego układu terytorjalnego w Europie. Układ ten jest sprawiedliwszy, niż ten, jaki był przed rokiem 1914. Utrzymanie go leży w interesie prawdziwie pojętej ludzkości oraz szeregu narodów, które po wojnie zyskały niepodległość i zjednoczenie, lub które mają dziś lepiej zagwarantowane bezpieczeństwo. Lecz układ ten jest odczuwany jako w najwyższym stopniu krzywdzący i szkodliwy przez narody, które poniosły klęskę w wielkiej wojnie, w pierwszej linji przez Niemców i przez Węgrów.

W tem położeniu trzeba sobie odważnie zdać sprawę z tego, że nowy układ terytorjalny w Europie, a więc—między innemi—istnienie niezależnego państwa polskiego, mającego oparcie o Bałtyk, może być obroniony przed zniweczeniem tylko z bronią w ręku. Rozbrojenie europejskie byłoby przedewszystkiem rozbrojeniem tych państw, które z natury rzeczy mają bronić nowego, powojennego układu terytorjalnego w Europie, byłoby ułatwieniem akcji rewizyjnej tych państw, które chcą powrócić do granic przedwojennych.

Oto dlaczego najenergiczniejszymi rzecznikami rozbrojenia są Niemcy. Mają one dwa cele na widoku: rozbrojenie Francji i Polski dałoby im wolne ręce w polityce europejskiej, zrobiłoby z nich arbitrów Europy; atmosfera pacyfikacji i rozbrojenia daje im szansę ustalenia w umysłach obywateli Ameryki i Europy Zachodniej przeświadczenia, że jedynym warunkiem ostatecznej pacyfikacji kontynentu europejskiego i powszechnego, wiecznego pokoju jest naprawa „krzywdy", jaką im wyrządził traktat wersalski w dziedzinie terytorjalnej.

W tych warunkach ma polityka polska przed sobą zadanie bardzo trudne. Bo popularne dziś hasła i nabierający coraz większej siły prąd w polityce światowej, zawierają w sobie zarodki i przesłanki, które z żelazną logiką prowadzić muszą, gdyby nic nie zakłóciło ich rozkrzewiania i biegu, do wywrócenia powojennego układu terytorjalnego w Europie i powrotu do granic przedwojennych. Z tego powinni sobie zdawać sprawę zarówno kierownicy polityki polskiej, jak i ogół społeczeństwa. Wszak chodzi tu, ni mniej ni więcej, tylko o istnienie państwa polskiego.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

NA MARGINESIE SPRAWY „SPĄSOWIAKÓW"

REWELACJE „Gazety Warszawskiej" na temat propagandy antyreligijnej i komunistycznej, uprawianej w szkole państwowej pod firmą organizacji „spasowiaków", zwróciły uwagę społeczeństwa na celową akcję antyreligijną, która—niewątpliwie pod dyktandem Moskwy — prowadzona jest zwłaszcza wśród nauczycielstwa i to prowadzona z bardzo różnych stron i w bardzo rozmaitej formie. Jednym z organów tej propagandy jest „Wolnomyśliciel polski", dwutygodnik, wychodzący w Warszawie pod redakcją p. Marji Jankowskiej.

W jednym z ostatnich numerów „Wolnomyśliciela" [1]) znajdujemy ciekawy artykuł jakiegoś p. W. Polkowskiego p. t. „Czy wystarczy w walce o prawdę unikanie w szkołach pogadanek o Bogu?" Artykuł jest polemiką z poglądem „ob. A. Warszawskiego" (czyżby posła komunistycznego?), „który zaleca, celem usamodzielnienia uczniów szkół powszechnych i uwolnienia ich poglądów od wielu przesądów, unikanie pojęcia boga jako siły nadprzyrodzonej, stale wtrącającej się do każdej jednostki na ziemi". Bardziej gorliwy wolnomyśliciel, p. Polkowski jest zdania, że uwagi p. Warszawskiego „tematu nie wyczerpują" i chce wyjść daleko poza przyrodę, wskazując przedewszystkiem na język, historję i geografję, jako przedmioty nauki szkolnej, nadające się do propagandy ateizmu. Na początek daje próbę przeglądu programu historji w szkole powszechnej i poucza nauczycielstwo, jak przedmiot ten wyzyskiwać dla propagandy ateizmu.

Receptę p. Polkowskiego warto przytoczyć *in extenso*, jest ona bowiem doskonałym przykładem, jak celowo preparowana jest nauka szkolna przez naszych

---

[1]) № 10 z 1 maja b. r.

nauczycieli komunistów dla propagandy antyreligijnej. Daje ona przedsmak tego, jak wygląda historja w interpretacji „spasowiaków". Tu trzeba dodać, że „Wolnomyśliciel" jest z pewnych sfer szczególnie gorliwie propagowany wśród nauczycieli szkół powszechnych.

„Przy nauczaniu historji — pisze p. Polkowski — znajdują się z punktu naszego stanowiska punkty różne: jedne, które stwierdzają lansowanie programu tego przedmiotu dla celów klerykalnych, np. św. Kinga, Piotr Skarga oraz takie, które tylko zależnie od indywidualności nauczyciela mogą być dla prawdy szkodliwe. Temi są np. działalność zakonników za pierwszych Piastów w Polsce, przyjęcie przez nią chrześcijaństwa, obrona Częstochowy i inne. Nauczanie w najniższych klasach szkoły powszechnej ma charakter obrazowy a nie pojęciowy. Sumienny nauczyciel na lekcji o przyjęciu chrześcijaństwa nie będzie chyba malował obrazu ciągłego wstępowania dusz do raju od roku 966 do dnia dzisiejszego, lub porywania ich przez szatanów do gotującej się smoły, gdyby Polska pozostawała dotąd „w sprośnych błędach pogaństwa", ale przedstawi niezwłocznie dwa obrazy: jeden to opłakane apostolstwo wśród Połabian i jego skutki, drugi — to koronację Chrobrego (?), a w ciągu całej nauki będzie podkreślał znaczenie cywilizacji.

Przy obronie Częstochowy może wszak opowiadanieześrodkować na postaci miecznika Zamojskiego, a mimochodem wtrącić, że przeorem Paulinów był ks. Kordecki (zob. archiwa szwedzkie z których wynika, że Szwedzi dlatego odstąpili od Częstochowy, że Kordecki poddał się Karolowi Gustawowi, co Kordecki potem chytrze zataił w swojej „Gigantomachji". Była to więc zwykła zdrada, a nie żaden cud.*) Trudniejszą będzie miał sprawę nauczyciel z takiemi punktami programu, które wyraźnie służą celom klerykalnym, n. p. z Kingą. Zauważyć należy, że z powodu braku miejsca i czasu tyle wznioślejszych postaci historycznych w programie np. oddziału trzeciego zostało pominiętych, a postaci tej królewny węgierskiej nie opuszczono, bo „święta". Deską ratunku dla nauczyciela będzie chyba obraz życia średniowiecznego i pierwszy śpiew przez nią Bogarodzicy. Prawdziwą Scyllą i Charybdą jest postać Skargi, którą należy omawiać w rozdziale czwartym w cyklu „W służbie Ojczyzny". Zachodzi pytanie, czy dzisiaj po rewelacjach prof. prof. Windakiewicza i Kota należy na tę postać patrzeć przez okulary Matejki? Czyż Skarga nie jest ojcem duchowym późniejszej reakcji, a jego akcja na sejmie 1606 roku — czyż nie była szkodą dla Polski; albo czyż niektóre posunięcia polityki watykańskiej na tle dążeń Polski w pierwszym dziesiątku lat XVII stulecia, nie rzucają pewnego światła na jedną z jego czynności? Jeśli nauczyciel boi się powiedzieć prawdy — lepiej niech postać tę pominie. Również przy Koperniku, czyż należy milczeć o tem, że podległy „nieomylnemu" w rzeczach wiary papieżowi Kościół trzymał dzieła wielkiego astronoma przez długi czas na indeksie? Przykłady można powiększać bez końca. Syntezą ich będzie postulat: zgodne z prawdą nauczanie historji nawet w szkole powszechnej przyczyni się do uwolnienia oczu ucznia od łusek, nakładanych mu nieświadomie przez rodzinę, a świadomie przez kler. Jest to obowiązkiem każdego, kto nie chce zaciemniać prawdy i nie życzy sobie w Polsce powrotu reakcji katolickiej wieku XVII-go".

Nie jestem historykiem, nie umiem należycie ocenić, jak dalece bliskim, czy dalekim od prawdy historycznej jest mniej u nas znany historyk, p. Polkowski, ale to wiem napewno, że ta historja „świecka" p. Polkowskiego, historja gasząca entuzjazm i wiarę młodzieży na korzyść „prawdy", pełnej ironji i niedowierzania, jest bardzo, bardzo mało pedagogiczną. Przypomina mi się tu trafne zdanie, którem takich nauczycieli racjonalistów scharakteryzował parokrotnie w ostatnich czasach cytowany René Benjamin w swej książce *„Aliborons et démagogues"*.

„W końcu zamienia on historję na „wiedzę historyczną", a tem samem zastępuje starą, gorącą wiarę, co ożywiała prostaczków, przez ten ustawiczny, wyziębły zmysł krytyczny, od którego mrą profesorowie uniwersytetu. Przy pomocy fiszek, etykiet i dokumentów ścisłych, a te są oczywiście równie fałszywe, jak wszystko inne, bo są ludzkim tworem — podaje w wątpliwość to wszystko, co sławne, heroiczne i święte" (str. 118).

Zaiste biedna ta historja, torturowana przez różnych atestycznych Polkowskich, pacyfistycznych Gomułów i komunistycznych „spasowiaków". Ale biedniejsze są te nieszczęsne dzieci w szkołach powszechnych, które wysłuchiwać muszą tego rodzaju pseudonaukowych bredni!

T. JÓZEFOWICZ

*) Th. Westorin: *„Częstochowa Kloster Belägring af Karl Gustaw 1655"*. Stockholm 1905, z fotograficzną podobizną autografu Kordeckiego (Przyp. Red. „Wolnomyśliciela").

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Doskonałego podręcznika szkolnego „Literatury polskiej w. XIX-go" przez Manfreda Kridla wyszła świeżo cz. IV (Warszawa, Arct, str. 178). Znajdujemy tu obraz literatury z l. 1840—70, przeważnie rozwijającej się w kraju. W czterech dużych rozdziałach omawia autor Norwida, Fredrę, powieść tego czasu, oraz pozostałych poetów. Na szczególną uwagę zasługuje wcale jasno i wyraźnie zarysowana sylwetka Norwida, któremu Kridl poświęca aż 37 str. Nie jest to zadużo, ale jeśli to zestawimy z ilością miejsca, przeznaczoną dla Pola (str. 5!), i przypomnimy sobie, że w „Historji Literatury" Tarnowskiego ten ostatni pisarz miał str. 92, gdy Norwid tam jest zupełnie pominięty, uprzytomnimy sobie dobitnie, jaka zmiana zaszła już w ocenie zjawisk literackich w. XIX-go.

Pod względem metodycznym podręcznik Kridla zdobył już sobie zasłużoną sławę. Wydaje się tylko, że niepotrzebnie życiorysowi (!) Fredry poświęca autor aż 14 str. W twórczości Norwida po macoszemu został potraktowany okres ostatni. Należało choćby pobieżnie omówić „Rzecz o wolności słowa", „Kleopatrę", oraz satyrę patrjotyczną poety.

*

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu ukazały się „Mowy żałobne" (1895—1914) x. Józefa Kłosa.

Złotousty kaznodzieja składa w tem dziele hołd pośmiertny zasłudze wielkich obywateli i czcigodnych matron polskich. Służyć ono może kapłanom jako wzór krasomówstwa żałobnego, ale ponadto spełnia zadanie jakby dokumentu dziejowego, wskazując, że wiarą w Boga, uczynkami wobec społeczeństwa i nadzieją na zmartwychwstanie karmił się duch polski podczas nagroźniejszego ucisku pruskiego zaborcy.

*

Artur Conan Doyle miał u nas w swoim czasie popularność niezmierną, objawiającą sie od strony nienajlepszej; zaczytywano się w jego opowieściach detektywistycznych, licho tłumaczonych i wydawanych w broszurkach, w których obok rzeczy autentycznych Doyle'a mieściło się wiele bzdurnych bajęd o Sherlocku Holmesie, fabrykowanych niezdarnie na wzór tamtych przez różnych kolportorów kryminalnej sensacji. Dziś już ta szerlokomanja przeminęła, w każdym razie próbę czasu przetrwał klasyczny utwór tej serji, jakim jest „Pies Baskerville'ów" Dzieło to, znane w niesfałszowanej postaci już z „Ciekawych powieści", wydawanych przed wojną, obecnie wyszło nakł. Wydawnictwa Polskiego w Poznaniu, w bardzo dobrym przekładzie Bronisławy Neufeldówny. Pozatem zaczęto nakoniec interesować się inną — poważniejszą i lepszą — stroną twórczości Conan Doyle'a; mianowicie nakładem „Roju" wyszedł zbiór pięknych jego nowel, noszących ogólny tytuł „Ostatnia galera". Nowele te, najróżnorodniejszej treści, osnute są przeważnie na tle historycznem i dają nam przegląd wszystkich niemal wieków, przyczem wszędzie niemal uderza nuta romantyczna, ujawniająca się to w gloryfikowaniu smutnego bohaterstwa zwyciężonych, to w tajemniczości zjawisk, to w mistycyzmie wizyj sennych. Zasługiwałyby na przekład polski najlepsze dzieła Conan Doyle'a — jego powieści na tle historycznem, jak pełna groteskowego humoru i plastycznych rysów średniowiecza *„The White Company"* lub korona twórczości tego pisarza, przebarwna księga przygód — *„The Exploits of Brigadier Gerard"*-

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Do najciekawszych, a jednocześnie zagadkowych i niezrozumianych postaci historycznych należy niewątpliwie Filip II, król hiszpański. Znany pisarz francuski p. Louis Bertrand postanowił rzucić nieco światła na psychikę Filipa II, badając dzieje zbudowanego przez króla i ulubionego przezeń Escorialu. Książka p. t. *„Philippe II à l'Escorial"* zawiera dzieje klasztoru i kościoła, które są jednym z najpiękniejszych i najciekawszych zabytków architektonicznych Hiszpanji, oraz próbę wytłumaczenia pobudek, które skłoniły króla do podjęcia tej budowy i do nadania jej takich właśnie, a nie innych kształtów i przeznaczeń. Autor życiorysów św. Augustyna i Ludwika XIV dał nowe dzieło ciekawe i piękne.

*

P. Georges Scapini, człowiek jeszcze młody, pełen talentu, utracił wzrok na wojnie. To kalectwo nie pozbawia go jednakowoż energji. Uczy się nietylko alfabetu dla niewidomych, ale wogóle uczy się żyć jako ślepiec. Przychodzą ostatnie wybory. Georges Scapini, prezes Stowarzyszenia ślepych wielkiej wojny, kandyduje i zostaje wybrany posłem miasta Paryża. Nie dość na tem. Georges Scapini przedsiębierze podróż do Ameryki. Po powrocie jej ma niezmiernie ciekawy odczyt, w którym co kilka zdań powtarza słowo: „widziałem". Jest ono tylko pozornie paradoksem, gdyż siłą wewnętrzną, duchową ten człowiek energji, człowiek czynu „widzi" może głębiej, aniżeli ci, co wzroku nie postradali. Georges Scapini publikuje obecnie właśnie książkę p. n. *„L'Apprentissage de la Nuit"* (Flammarion). Autor z humorem opowiada swą niesforną młodość, a potem z niezwykłą prostotą tragiczne wspomnienia wojenne, utratę wzroku, pierwsze zetknięcie z ciemnościami. Nie rozczula się i nie rozwodzi nad swojem kalectwem, bo Georges Scapini z dumą odrzuca wszelkie współczucie dla swojego losu. Książka też jego jest elementarzem energji i woli, w której wykazuje nam, jakie dzięki nim można osiągnąć rezultaty, a autor jej jest najdoskonalszym, bo żywym przykładem. Konkluzji zaś jego nie brak wzniosłości, ale i tragizmu, kiedy Georges Scapini oświadcza: „Nie istnieje przeszkoda do nieprzezwyciężenia, ani też sytuacja bez wyjścia... A tragizm mojej rany, być może, jest mi dobrodziejstwem".

*

Henry Bordeaux nie jest oczywiście zwykłym podróżnikiem. Dlatego też jego wrażenia po nowem objeździe Włoch, nie są zwykłemi wrażeniami. *„La Claire Italie"* (Plon édit.) jest ogromnie żywym, inteligentnym obrazem współczesnych Włoch, na których życie autor tej książki patrzy nietylko oczami subtelnego artysty, ale również i człowieka czynu. I dlatego w utworze Henry Bordeaux spotkamy niesłychanie barwne opisy, poświęcone siedzibie Gabriele d'Annunzio nad jeziorem Garda, jak i trafne scharakteryzowanie duszy wielkiego poety i jego buntu przeciw starości, w którą nawet jako sześćdziesięcioletni człowiek wierzyć nie chce... Dalej mamy spotkanie z Królem, u którego p. Henry Bordeaux podkreśla niezwykły spokój, ten spokój, będący przywilejem wieków jako też i znaczenie dziedzicznej monarchji, „symbolizującej trwałość i uczącej umiarkowania, ciągłości, znaczenia przeszłości i zapewnienia przyszłości". Audjencja pisarza u Papieża, który mu oświadcza ze skromnym uśmiechem, iż jest starym bibljotekarzem, jest niemniej ciekawą i jedyną w swoim rodzaju lekcją pokory, jaką się wynosi z salonów Watykanu, ale oto autor *„Claire Italie"* staje przed *Duce*, któremu oświadcza: „Pan Prezydent nie ma tak strasznego wyglądu, jak na swych fotografjach". Na co Mussolini odpowiada: „Trzeba mieć straszliwy wyraz", ale równocześnie uśmiecha się, uśmiechem pełnym wdzięku, któremu oprzeć się nie sposób. P. Bordeaux jednakowoż zaznacza, iż na mało ustach widział równie pogardliwy uśmiech jak na ustach Mussoliniego, gdy tenże mówił o parlamentarzystach i powojennej literaturze, pozbawionej męskości. I p. Bordeaux charakteryzuje włoskiego Dyktatora jako „cudo energji". Włochy zaś, jego zdaniem, stały się wielką potęgą, co niezawodnie jest dziełem Mussoliniego. Wrażenia, jakie z Włoch wynosi autor są niezmiernie jasne, pouczające, bo na każdym kroku odczuwa się, jak wola i energja prawdziwego wodza potrafiła pobudzić do czynu cały naród.

*

P. Léandre Vaillat, którego erudycja w dziedzinie sztuki jest znana, obiera za tło swojej powieści miasto Reims. Tytuł — *„Le Sourire de l'Ange"* (Flamarion). W istocie też w książce powyższej rozgrywa się dramat pomiędzy dwiema kobietami. Na pierwszy jednak plan tej książki wysuwa się przedewszystkiem studjum nowe i ciekawe prac budowlanych, życia przedsiębiorców i robotników. Autor zaś bardzo zręcznie przeniesie czytelnika potem do samego Reims, oprowadzi go po starych ulicach i katedrze, tłumacząc mu cały szereg nieznanych faktów, a ponieważ jest nieocenionym *cicerone*, więc czas z nim przechodzi szybko i przyjemnie, tem więcej, iż opromienia go także tajemniczy uśmiech, sławnego anioła męczeńskiego miasta, a który również, jakby przypadkiem, posiada i bohaterka p. Vaillant.

TEATR

WIELKI KRAM

W SZTUCE pod tytułem „Wielki kram", którą Warszawa poznała wpierw, niż Londyn — albowiem premjera tego utworu, nie granego dotychczas nigdzie, odbyła się w zeszły piątek w naszym Teatrze Polskim — Jerzy Bernard Shaw, najpopularniejszy ze współczesnych angielskich autorów dramatycznych, przedstawia nam stosunki polityczne, jakie według dużego prawdopodobieństwa zapanują w ojczyźnie jego za lat kilkadziesiąt.

Rzecz dzieje się w Londynie, na zamku Królewskim, w Roku Pańskim tysiąc dziewięćsetnym sześćdziesiątym którymś, Wielką Brytanją włada miłościwie Jego Królewska Mość król Magnus, Włada?... Hm... hm... Jedynym szczątkiem monarszej władzy jest prawo *veta*, przysługujące tronowi na zasadzie odwiecznej konstytucji, prawo sprzeciwiania się tym aktom rządowym, które król uważa za szkodliwe. Otóż gabinet ministrów postanawia prawo to „władcy" odebrać, pomimo, że jest ono właściwie przywilejem czysto teoretycznym, w praktyce bowiem każde orędzie królewskie musi być zredagowane w porozumieniu z gabinetem, król zaś odczytując tekst mów tronowych, ma już tylko jeden jedyny sposób zamanifestowania wobec poddanych, że się z podyktowanemi mu myślami nie solidaryzuje, mianowicie: ironiczną intonację głosu oraz... mruganie oczyma przy odpowiednich ustępach lektury. Ministrowie stawiają *ultimatum*: albo król podpisze zrzeczenie się *veta*, albo gabinet poda się do dymisji, co spowoduje nową kampanję wyborczą, będącą dla kraju przesileniem ciężkiem, być może bardzo ciężkiem, napewno zaś absolutnie bezpożytecznem. Król prosi o parogodzinną zwłokę do namysłu. Sytuacja jest poważna. Anglja coprawda nie posiada już wcale bezrobotnych, dzięki olbrzymiej ilości fabryk zaopatrujących cały świat w... czekoladki deserowe i tym podobne „produkty niezbędnej potrzeby". Zarobki robotnicze coprawda pozwalają żyć proletarjatowi angielskiemu w pełnym komforcie. Dzieje się tak jednak tylko wskutek tego, że Anglja eksploatuje niemiłosiernie narody kontynentalne, jęczące pod jarzmem jej kapitału i pracujące na utrzymanie tego „raju robotniczego". Przyszłość zapowiada się niewesoło. Gdyby pewnego pięknego poranku wasale ekonomiczni się zbuntowali, jedynym środkiem odżywczym ludności wielkobrytyjskiej musiałaby się stać... deserowa czekolada. Drugą ciemną plamą na słońcu pomyślności, które przyświeca Albionowi, jest jego własna zależność od... Ameryki. Anglja do tej pory nie spłaciła długów, zaciągniętych podczas wielkiej wojny. Ameryka jest zaś wszechpotężna, a zaborczość jej wzrasta nieustannie. Zaborczość owa przybiera — w proroctwie Shawa — formę zgoła nieoczekiwaną: Kongres Waszyngtoński, w celu dokonania bezbolesnej aneksji wszystkich dominjów brytyjskich wraz metropolją, postanawia przekreślić akt niezawisłości Stanów Zjednoczonych, mocą którego oderwały się w osiemnastym wieku od swojej macierzy i ofiarować mocarstwo U. S. A., jako dominjum, koronie angielskiej, pod warunkiem oczywiście, że jego królewska mość przyjmie tytuł Imperatora, oraz że stolica państwa monstrualnego (prawdopodobnie razem z katedrami i innemi najcelniejszemi zabytkami historycznemi) zostanie przeniesiona za ocean.

Wiadomość o tej uchwale, zakomunikowana królowi Magnusowi przez ambasadora Stanów Zjednoczonych p. Vanhatena, napełniła monarchę przerażeniem. Urzeczywistnienie tej koncepcji politycznej stałoby się ruiną i doszczętną zagładą jego ojczyzny. Król postanawia działać. Wzywa ministrów. Oświadcza im: „Rezygnacji

z prawa do *veta* nie podpiszę. Ponieważ jednak wy odmawiacie mi swojej współpracy, o ile tego nie uczynię — postanowiłem abdykować na rzecz mojego syna". Ministrowie są zachwyceni. Pomysł abdykacji podoba im się bardzo, ponieważ przewidują, że z następcą tronu poradzą sobie łatwiej, niż z Magnusem. Miny jednak rzedną im odrazu, gdy król oznajmia, iż po złożeniu korony zamierza starać się o mandat do izby gmin. Stworzy własne stronnictwo, niewątpliwie poważne, gdyż jest popularny i sięgnie po... prezydenturę gabinetu.

Sztuka kończy się podarciem aktu rezygnacji z *veta* i powrotem ministrów do uległości.

Aczkolwiek akcja utworu przesunięta jest w daleką przyszłość, rozumiemy wybornie, iż premjera jego musiała się odbyć poza granicami Anglji. Gabinet ministrów, pokazanych na scenie, to zgraja karjerowiczów, łapowników, krętaczy i pijaków, pomiędzy którymi dwie tylko osoby przedstawione są sympatycznie—dwie kobiety-ministerki, pracujące serjo dla lepszej przyszłości kraju... Osobę monarchy pokazuje nam Shaw na tle buduaru faworyty, co również dla publiczności angielskiej byłoby widowiskiem szokującem, zwłaszcza, że autor każe majestatowi wywracać koziołki po dywanie. Koziołków tych król wprawdzie nie fika dobrowolnie, lecz jest do nich zmuszony okolicznościami, no ale zawsze widok podobny musiałby londyńczyków zgorszyć.

Jesteśmy bardzo wdzięczni Shawowi, iż mając do wyboru sceny paryskie, berlińskie, amerykańskie i... sowieckie, wybrał Warszawę. Wyróżnienie to, przypuszczam, jest przedewszystkiem nagrodą zasług p. Sobieniowskiego, który utwory dramatyczne Shawa tłumaczy na nasz język z mistrzowstwem nieporównanem: robią wrażenie, jakby były po polsku napisane.

Teatr Polski nie poskąpił ani środków materjalnych, ani—co ważniejsza—wysiłku artystycznego, aby sztuka Shawa została wystawiona w sposób godny tego olbrzymiego talentu. Dekoracje Frycza imponowały przepychem i dobrym smakiem. Reżyserja Borowskiego radziła sobie skutecznie z ożywieniem długich djalogowych dyskusyj. Pan Junosza Stępowski święci wielki triumf w roli króla Magnusa, piekielnie trudnej i uciążliwej, gdyż Jego Królewska Mość gada prawie nieustannie przez całe trzy akty. Stępowski zagrał tę postać brawurowo: czarował dystyncją manier, wytwornością stroju, dowcipem, kulturą. W akcie drugim miał idealną partnerkę w osobie pani Przybyłko-Potockiej, która grała Orynefję, królewską *maitresse en titre*. W aktach pierwszym i trzecim akompanjowali mu pp. Krzewiński, Fritsche, Małkowski, Szulerd, Modzelewska, Kunina, Dominiak, Sulima i Samborski.

ZASTĘPCA

KAZIMIERZ STABROWSKI

(Wspomnienie pośmiertne)

BYŁO to w latach przedwojennych.

Ekspress paryski przybył do Madrytu bardzo wczesnym rankiem, wysypując garstkę podróżnych, w tej liczbie małe towarzystwo polskie z K. Stabrowskim na czele. Miasto pogrążone było jeszcze w śnie. Co począć? Znużeni podróżni rozjechali się po hotelach, pragnąc odetchnąć i rozprostować kości. Polacy tylko postąpili inaczej. Ożywieni udzielającym się ogółowi entuzjazmem Stabrowskiego, po skromnym posiłku udali się wprost ku Prado. Wyobraźnię pochłaniał Velasquez. Arcymistrz mistrzów, którego tak skąpo po największych muzeach świata, że Stabrowski podjął daleką podróż do Hiszpanji, aby na miejscu, w ojczyźnie genjusza — zobaczyć jego dzieła. Cóż więc, że godzina jest niestosowna? Celem podróży było Prado. Rozbudzono kustosza, który zdumionym, choć przyjaznym wzrokiem oglądał entuzjastę, wdzierającego się z taką energją do sanktuarjum sztuki.

*

Przerzucam dalsze karty wspomnień.

Rzym. Za szczytem Palatynu roztaczał się widok na miasto odwieczne. Myśl snuła marzenia. Wyobraźnia malarska tonęła w odmęcie piękna antycznego. Nasuwały się porównania z przepychem Wschodu, rozmowa potoczyła się o niedostępnych pałacach Persji, o Sezamach zamkniętych bezwzględnie dla oka podróżnika. Stabrowski mówił:

— Mogłem to wszystko ujrzeć. Marzyłem zawsze o Wschodzie. Mówiłem o tem często po pracowniach petersburskich. Aż pewnego dnia zwraca się do mnie ktoś ze słowami: — „Mogę zrealizować pańskie marzenia. Jadę w sekretnej misji od rządu rosyjskiego do szacha perskiego. Pieniędzy dostarczy skarb państwa. Lecz nie wypuszczą pana do Europy przed upływem lat dwóch.

— Więc był pan w Persji?

— Nie. Wprawdzie pokusa była silna. Można było zobaczyć wiele, była jednak i odwrotna strona medalu. Po długich staraniach uzyskałem właśnie naówczas od rządu rosyjskiego nadzieję na pozwolenie otwarcia Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie z językiem wykładowym polskim, jednak pod warunkiem, że znajdę na to odpowiednie środki w kraju i uruchomię szkołę w ciągu roku. W przeciwnym razie pozwolenie miało być cofnięte, a rząd zamierzał otworzyć własną akademję rosyjską i dać profesorów z Petersburga. W takich warunkach ponętna propozycja podróży na Wschód była pokusą iście szatańską, którą odrzuciłem i zająłem się ze zdwojoną energją postawieniem Szkoły.

Ogromne fundusze na ten cel ofiarowane były, jak wiadomo, przez małż. Stanisławowstwa Kierbedziów.

*

Powyższe dwa wypadki z życia świeżo zgasłego malarza znamionują dosadnie jego charakter. Była to mieszanina młodzieńczego entuzjazmu dla sztuki i niezłomnego poczucia obowiązku. Z wiarą przyjmował dogmat wolnej woli, która pozwala człowiekowi wznosić się drogą twórczą mądrości najwyższej, lub też odwrotnie — przeciwstawić się harmonji kosmosu.

Stabrowski należał do rzadkich jednostek, które w okresie pozytywizmu walczyły o Boga. W okresie niewoli moskiewskiej krzewił wiarę w niepodległość Polski i stworzył tak ważną placówkę kultury polskiej, jak Warszawska Szkoła Sztuk Pięknych.

*

Kazimierz Stabrowski pochodził z ziemi Nowogródzkiej. Urodzony w r. 1869, ukończył petersburską Akademję Sztuk Pięknych z medalem złotym. Następnie pracował pod kierunkiem Riepina i Kundżiego. Na wystawie wszechświatowej w Paryżu otrzymał wielki medal srebrny. Prace jego zakupowano do galeryj w Wenecji, Monachjum i innych. Niestety, ogromna część jego obrazów zaginęła w Rosji podczas ostatniej wojny. Paręset prac jednak znajduje się w Polsce, między innemi na Zamku, w Belwederze, w Ratuszu, w zbiorach muzealnych i prywatnych. W roku ubiegłym Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie przyznało mu najwyższe odznaczenie, a państwo złoty krzyż zasługi.

WANDA GENTIL TIPPENHAUER

OFENSYWA

LOKAJE CZY DZIENNIKARZE?

NIE tak to jeszcze dawno, jak trzeba było kilkakrotnie trzepnąć po łapkach sędziwego Rabagasa prasy stołecznej, papę Ehrenberga za ordynarne i głupowate ujadanie na Mussoliniego. Rabagas istotnie pozwalał sobie ponad wszelką miarę, gdyż w Radekalji przeważały nastroje demagogiczne, a „Latająca Ropucha" (tak się nazywa dziennik Rabagasa w sztuce Sardou) służyła wtedy wiernie pp. Dąbskim, Thuguttom i t. p. Papa pienił się wówczas na Mussoliniego. Kiedy generał Primo de Rivera poszedł po linji rzymskiej, „Latająca Ropucha" z ul. Marszałkowskiej napluła też co się zowie na hiszpańskiego dyktatora. Możnaby tu zacytować moc chwastów z tego pastwiska.

Papa Ehrenberg pojechał z ekipą dyplomatyczną na konkursy dyplomatyczne do Hiszpanji. Grecja płaci. Tam na miejscu przekonał się, że Hiszpanja to *El Dorado*, a tamtejszy dziadunio to najmilejszy *batiuszka*, do rany przyłóż. I oto jak w „Kurjerze Porannym" ironizuje nasz Rabagas:

„Gdyby się miało wątpliwości, czy d o b r o t l i w a dyktatura, która obecnie włada Hiszpanją, ma charakter arystokratyczny czy demokratyczny, to wątpliwości pierzchają odrazu przy wjeździe do Madrytu. Czytelnik gazet demokratycznych Berlina i Paryża wyobraża sobie oczywiście, że stolica Hiszpanji „jęczy pod militarnym uciskiem", że przepełniona jest wojskiem, które „terroryzuje ludność". Jakżeby się zdziwił, widząc, że oprócz kilku żołnierzy, sprawujących straż przed pałacem królewskim, żołnierzy, nie wyglądających bynajmniej zanadto groźnie, wśród r a d o ś n i e o ż y w i o n e g o l u d u, daremnie oczy szukają mundurów, daremnie wypatrują patrolów policyjnych"...

Oto jak można wytresować sobie ze starego radykała dobrego kamerdynera! Jak to porządnie służy papa Ehrenberg! Jak się umie nagiąć do kaprysów każdego pana!

A kiedy papa daje przykład, jak trzeba służyć, gdy się dostaje porządną gażę, inni też nabierają odwagi moralnej. W organie „radykalizmu polskiego" w „Głosie Prawdy" pisze p. St. Poraj, któremu także zafundowano *parti de plaisir* do Hiszpanji. Z okazji obdarzenia generała dyktatora najwyższym orderem, polskim w niedzielę dnia 13 czerwca czytamy:

„Trzeba bo, mówiąc o akcie niedzielnym, wziąć pod uwagę, jak mylnie, jak niesłusznie przedstawiona została w opinji świata t. zw. dyktatura hiszpańska, wprowadzona przez gen. Primo de Riverę".

Poczem p. Poraj tłumaczy swym radykałom, że to dopiero Primo de Rivera wziął się do wielkich posiadaczy ziemskich i... i nauczył ich płacić podatki... i że dopiero dziś „ima się kraj twardej, codziennej pracy" i że „z okien wagonu można dojrzeć świetnie wyszosowane drogi, instalacje, umożliwiające elektryfikacje linij kolejowych" i t. p...

Jeszcze trzy tygodnie temu „Głos Prawdy" w dodatku literackim, w artykule „Jak P. de Rivera rozumie wolność prasy?" cytował taki ustęp z artykułu tegoż Rivery drukowanego w jakiemś londyńskiem piśmie:

„Od pierwszej chwili objęcia władzy wprowadziłem cenzurę prewencyjną. Z punktu widzenia technicznego stanowi to pewną przeszkodę, z drugiej jednak strony system ów wyświadczył pismom znaczną przysługę, stale bowiem są przestrzegane co do tego, jakie wiadomości wolno drukować i jakie należy wstrzymać. Gdyby cenzura prewencyjna nie istniała, dzienniki zamieszczałyby artykuły lub notatki, które pociągnęłyby za sobą czasowe lub stałe zawieszenie pisma".

„Szybko jada" te radykały; może... i w dobrą stronę...

Tylko smarować to to trzeba, smarować! Czy wystarczy funduszów na futrowanie tylu, tylu „nawróconych"?...

TŁUMACZENIA

UPŁYWAJĄ już miesiące, upływają lata od śmierci Reymonta, a dzieło jego żywota nadal rozrasta się i sławą okrywa imię polskie. Teraz dopiero widać, ile w jego wielkim dorobku pisarskim wartości było nieprzemijających. Nadal tłumaczą go i wydają we wszystkich językach świata, nadal wychodzą nowe edycje, nadal w literackich pismach czyta się entuzjastyczne ich oceny.

W moskiewskiem wydawnictwie: „Ziemia i fabryka" wyszedł przekład historycznej powieści o „Ostatnim Sejmie Rzeczypospolitej, monumentalnym obrazie Grodzieńszczyzny".

Światowa firma Diederichsa puściła teraz nowe, popularne wydanie „Chłopów", przeznaczone dla najszerszych sfer. Jeżeli się zestawi cyfry poprzednich wydań niemieckich z cyfrą polską, to niestety przyjdzie się zarumienić ze wstydu, gdyż w Niemczech poszło egzemplarzy omal czterokrotnie tyle, ile w ojczyźnie autora.

W japońskiej prasie, jak donoszą, moc referatów i recenzyj z „Chłopów". Tłumaczenia dokonał profesor literatury angielskiej na uniwersytecie, Riszo Asadori Kato. Ceniony ten uczony tłumaczył przedtem kilka dzieł Wellsa i Shawa. Powodzenie w Japonji „Quo Vadis" otwarło drogę niektórym dziełom literatury polskiej, a powodzenie „Chłopów" znowuż skłoniło Asadori Kato do tłumaczenia „Popiołów" Żeromskiego. To są dzieła, z których możemy być dumni.

Gorzej atoli przedstawia się sprawa, gdy zaczną tłumaczyć utwory, które nas poprostu będą co się zowie kompromitowały.

Na język niemiecki i rosyjski przetłumaczono ostatnio pana Zysmana (z Klimontowa) powieść p. t. „Palę Paryż". Pan Zysman występuje pod polską przyłbicą jako Bruno Jasieński. Niemiecki „*Verlag*" zapowiadał powieść Zysmana jako arcydzieło „znakomitego polskiego autora, nie kryjącego się z nienawiścią do szowinistycznej Francji". W powieści tej są też rozdziały, podjudzające bolszewików na Polskę. Polacy bowiem urządzają w niej drugą wyprawę na Kijów, która się kończy rewolucją wszechświatową proletarjatu. Do polskiej edycji tej judzącej na nas sowiecką Rosję powieści napisał wstęp p. Kaden-Bandrowski, ten sam, który napisał też wstęp do polskiej antologji bolszewickich autorów. Dzielny ten *arrivista* nie wybredza w środkach reklamowania się i spekulowania na tłumaczenie swoich dzieł na język rosyjski i niemiecki. Tą drogą maszeruje do sławy grodu obrotny *Krakauer*. Stosunkowo sympatyczny jeszcze tom jego „Miasto Mojej Matki" przetłumaczono na włoski język (*La Citta de mia madre*) ale dziwną ironją nazwisko autora na książce dano „Bandrowsky". Nie można przypuszczać, żeby to było rozmyślne, a jednak jest do pewnego stopnia... zasłużone. Tegoż pana Bandrowskiego „Generał Barcz", grubo ordynarny i paszkwilowaty bigos hultajski, spotwarzający środowiska wyższych wojskowych polskich, zapowiada pansemicka „*Frankfurter Zeitung*": Drapiący się w górę nowelista zaczyna zbierać owoce swej spryciarskiej i kramarskiej taktyki. Podlizywanie się Niemcom w Berlinie i równocześnie prezentowanie Polski jako *inferna* i lupanaru przyniesie mu duże procenty. Po „Generale Barczu" przyjdzie szybko kolej na obie „kupy gnoju", znane pod tytułem „Czarnych Skrzydeł" (wydane przez „Ossolineum"!). Gdy przetłumaczą taką „Lenorę" i takiego pana „Tadeusza", zaczną się licytować ze sobą o ten kąsek Koncern prasowy Hugenberga z koncernami Ullsteina i domem Mossego. Tak bowiem Polaków i psychiki polskiej i obyczajowości polskiej nie oszkaradził jeszcze ani jeden beletrysta niemiecki, ani Sacher-Masoch, ani G. Freytag, ani bracia Skowronek ani Kaethe Schirmacher. To jest paszkwil bezkonkurencyjny. A że jeszcze najohydniejszą postacią powieści jest francuz Coeur, więc żydowski Berlin i prusactwo odwetowe dostaną w ręce „*gefundenes Fressen*". Ten pan Kaden pozazdrościł laurów Margueritte'owi i u autora „Garsonki" podpatrzył wszystkie chwyty, kawały i wolty autorskie. Ten sam styl, „światopogląd" i ten sam węch *business*'owy.

Margueritte'a atoli, powoli i dyskretnie ale stanowczo za jego wszystkie *cochonneries* usunięto w cień i poza nawias literatury.

Pan Bandrowski zaś znacznie mądrzejszy i doświadczeńszy. Przed zasłużonem wyświeceniem asekuruje się w ten sposób, że akuszeruje porodowi... „Akademji Nieśmiertelnych". Mozół to nie mały. Ale cóż to może być za Akademja, u której kolebki stoi z obcęgami taki arcynowoczesny typ twórcy, w którym jedną czwartą jest surowy jeszcze i nieopanowany talent a trzy czwarte: kombinacje, spekulacje, kalkulacje, geszefciarstwo, kaptowanie sobie klijentów, demagogja i typowo *krakauer*'skie zachłanne, drobnourzędnicze, kancelarskie, kancelistowskie karjerowiczostwo.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Na odbytym ostatnio w Warszawie zjeździe związku syndykatów dziennikarzy polskich, do zarządu — jak doniosły pisma — wybrany został między innymi „reprezentant Żydów" p. Gotlieb. Jako „reprezentant Polaków" natomiast wybrany został do zarządu p. Stefan Grosstern. Inne narody w zarządzie „związku syndykatów dziennikarzy p o l s k i c h" nie posiadają, jak dotąd, swoich przedstawicieli.

•

Rektor Wyższej Szkoły Handlowej, p. Antoni Sujkowski dokonał nieoczekiwanego zaiste odkrycia w dziedzinie — liturgiki katolickiej. Podzielił mianowicie nabożeństwa katolickie na dwie różne grupy: „niepolityczne" i „polityczne". Nowy podział ten, zdaniem p. Rektora, znaleść powinien wyraz i w zewnętrznej stronie obrzędu, w tem przedewszystkiem, że od chwili tego odkrycia, w nabożeństwach „politycznych" nie wolno będzie uczestniczyć delegacjom Bratniej Pomocy W. S. H. ze sztandarem uczelni. Ani spodziewaliśmy się, że ministrem wyznań religijnych był u nas człowiek, tak znakomicie rozumiejący, czem w istocie swej jest nabożeństwo katolickie i jakie posiada znaczenie!

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM